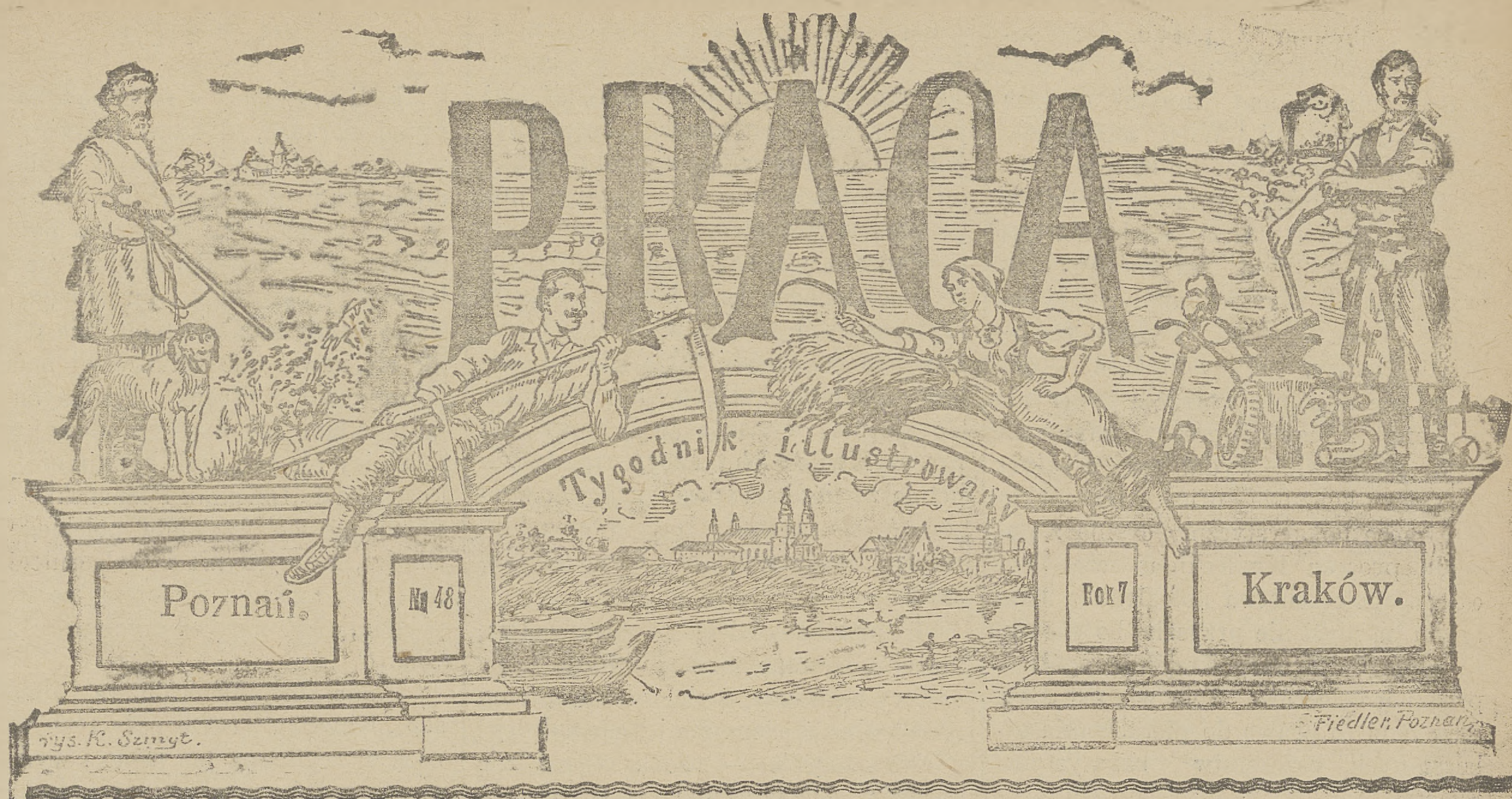
Nr. 48. Poznań, dnia 29-go listopada 1903. Rok VII.



Treść nr. 48-go.

Bezczelni!

Zakończony świeżo w Berlinie proces Kwileckich poruszył znów całą sforę hakatystycznych gadzin prasowych. Toż to gratka dla niej! Tak często zwłaszcza w ostatnim czasie zmuszoną była uginać butny kark swój przed moralną siłą odradzającego się żywiołu polskiego, że gdy ujrzała tę plamę na ciele naszem, nie posiadała się z radości. Zawyła więc z uciechy i w lot zaczęła obrzucać społeczeństwo polskie kałem i jadem swoim, natrząsając się z „polskiej gospodarki, polskiej niemoralności i polskiej ciemnoty.“ Wprawdzie, w miarę, jak rozwijał się proces, gdy oskarżenie zaczęło się coraz bardziej chwiać i rozpadać, gdy sposób przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie spotkał się z dość ostrą krytyką nawet fachowych niemieckich kół prawniczych, gdy wreszcie stało się jasnem, że i prokuratorya pruska nie wyjdzie z tej sprawy bez szwanku, zjadliwe okrzyki tryumfu hakatystycznych szczwaczy milkły coraz bardziej, lecz zawsze jeszcze płynie ku nam aż nadto szeroka fala hakatystycznej złości.

Bezczelni! Czyż rzeczywiście już nie wiedzą, w jakim brudzie i bagnie niemoralności tonie własne ich społeczeństwo? Czyż nie czują, że napadając na nas w tej sprawie, stają się podobni do motłochu, który na ulicy miota plugawe wyzwiska na wszystko, co uczciwe? Czyż koniecznie mamy im raz jeszcze przypominać długi szereg niemieckich brudów i skandali chociażby tylko z lat ostatnich?

Właściwie byłby to nawet trud zbyteczny, bo ironia losu zrządziła, że równocześnie z tym procesem toczył się w Niemczech inny, który odsłonił niesłychaną nędzę moralną wśród kół, zaliczanych do śmietanki społeczeństwa niemieckiego. Mamy tu na myśli proces przeciwko porucznikowi *Bilsemu.* Młody ten oficer napisał romans, w którym bardzo ujemnie przedstawił życie oficerów pewnego małego garnizonu niemieckiego. Romansem tym czuli się obrażeni właśnie jego towarzysze broni z załogującego w miasteczku Forbach w Lotaryngii pruskiego batalionu trenów. Prokuratorya wojskowa wytoczyła więc proces autorowi. Lecz cóż się okazało? To jedynie, że wszystko, co jego książka zawierała, zgadzało się z prawdą, że wstrętni „bohaterowie“ jego romansu nie byli bynajmniej ludźmi urojonymi, lecz istotami żywemi.

Było to dobrane grono lekkomyślnych ludzi, zaciągających długi bez możności ich splacenia, a nie brakło w niem i takich, którzy wyciągali rękę po kasę batalionową. Dowiedzieliśmy się, że batalionem komenderowała obok pana majora, rubaszna małżonka jednego z rotmistrzów, że inne panie oficerowe uprawiały na wielką skalę wolną miłość. Sąd mimo to skazał autora na pół roku więzienia — ku niemałemu zdziwieniu opinii publicznej; lecz mniejsza o to. Bo ten autor

w gruncie rzeczy nie był o wiele lepszy od swoich towarzyszów, bo napisał tę książkę nietylko z „pobudek moralnych“, lecz także potroszę w celu zemszczenia się nad innymi, co sam poniekąd przyznał. Więc niema nawet powodu, ujmować się za nim.

Stan oficerski, to przecież wedle pojęć niemieckich, elita społeczeństwa niemieckiego. Nikt też nie przypuszczał, iżby w nim zachodziły takie postacie i takie stosunki. I cóżby powiedzieli Niemcy, gdyby ktokolwiek odważył się uogólnić wrażenie swoje odniesione z tego procesu, gdyby na jego podstawie wydał sąd o *całym* pruskim korpusie oficerskim, jak to szczwacze hakatystyczni czynią z powodu procesu Kwileckich względem całego społeczeństwa polskiego? Nam to ani na myśl nie przyszło, bo wiemy, że wyrządzilibyśmy krzywdę ogółowi pruskich oficerów. Tem większe atoli daje nam to prawo do piętnowania nikczemnych oszczerstw hakatystycznych.

Zapomnieli oni widocznie także o sprawkach swoich „bohaterów“ afrykańskich, o Wehlauach i Arenbergach; zapomnieli o Sandenach, Pruhmüllerach, Schmidtach i Terlinderach, którzy obławiali się milionami cudzego mienia; zapomnieli o hrabiance Seckendorff, która nie podsunęła dziecka, lecz własne swoje, owoc nieślubnego stosunku z lokajem, zgładziła ze świata. W jakiem zaś świetle przedstawiają „kulturę niemiecką“ wypadki takie jak procesy podoficerów Breidenbacha i Hoffmanna, którzy w setkach wypadków w ohydny wprost sposób znęcali się nad żołnierzami, lub owa głośna zbrodnia chorążego marynarki Hüssnera? Cóż powiedzieć o stopniu oświaty i poczucia własnej godności żołnierzy niemieckich, którzy bezprzykładne wprost znęcanie się nad nimi podoficerów znoszą z niewolniczą uległością i nie mają odwagi poskarżyć się przed wyższymi przełożonymi? Cóż powiedzieć o sprawkach takiego Dippolda lub o zwierzęcej niemal okrutności małżonki nauczyciela seminaryjnego Kuhna względem biednej służącej?

Zaprawdę, nie potrzeba bynajmniej wysilać pamięci, bo z bieżącej kroniki kryminalnych procesów czerpać można pełnemi dłońmi takie i tym podobne „kwiatki kultury niemieckiej.“ To już nie wypadki wyjątkowe, jak proces Kwileckich, który zresztą zupełnie zawiódł nadzieje naszych wrogów, *to symptomaty rozprzężenia moralnego, ogarniającego coraz szersze koła.*

I przedstawiciele społeczeństwa, które codziennie niemal wydaje takie objawy zgnilizny, śmią zarzucać nam niemoralność, ciemnotę i brak kultury!

Na szczęście — to ich wycie nie sprawia już wrażenia w świecie, co najwyżej wzbudza *obrzydzenie.* Poznali się na nich już wszyscy, poznały się na nich narody cywilizowane, a nawet dzikie lub półdzikie szczepy za oceanami. Jad ich nie zdoła nas dosięgnąć — a jedyną godną ich wartości moralnej odpowiedzią z naszej strony może być ślina pogardy. Co więcej! Ta ich bezczelność i obłuda — to dla nas dobra wróżba przyszłości. Bo naród, którego tak liczni członkowie zatracili już zupełnie zmysł krytyczny wobec samych siebie i poczucie własnego upadku moralnego, może być wprawdzie na długo jeszcze dla nas dokuczliwymi, ale nie może już być — *niebezpiecznym!*

Poznańczyk.

Wynik wyborów *na Śląsku.*

Jeźli weźmiemy w rachubę tylko korzyści *doraźne,* złączone bezpośrednio z akcyą wyborczą, to wynik wyborów do Sejmu pruskiego na Górnym Śląsku uważać musimy za niebardzo pomyślny dla nas. Nietylko bowiem nie zdołaliśmy przeprowadzić ani jednego własnego kandydata, ale nadto nie powiodło się nawet dać dotkliwszej nauczki stronnictwu centrum. Przyczyną tego nieudania się akcyi narodowej w tej dzielnicy nie jest atoli bynajmniej, jak to twierdzi „Dziennik Poznański,“ „*zupełna niemoc*“ żywiołu polskiego na Śląsku, lecz jedynie i wyłącznie brak należytej agitacyi wyborczej ze strony polskiej *obok nowych bałamuctw „Katolika.“*

Bałamutne, nienarodowe stanowisko „Katolika“ także przy tych wyborach określiliśmy już jasno i wyraźnie w poprzednim naszym artykule: „*Zamieszanie na Śląsku.*“ Dziś stwierdzamy, że nie zmienił go on do ostatniej chwili i że *głównie na niego spada odpowiedzialność* za ten niepomyślny wynik wyborów. „Katolik“ zamieścił wprawdzie odezwę polskiego śląskiego komitetu wyborczego, wzywającą wyborców polskich w okręgu *pszczyńsko-rybnickim* do głosowania na postawionych tam kandydatów narodowych a do zupełnego wstrzymania się od głosowania we *wszystkich innych okręgach,* ale nie tylko że nie poparł jej ze swej strony, lecz przeciwnie, *osłabił jeszcze* jej wrażenie przez dopisek, aby każdy wyborca postąpił tak, jak mu nakazuje *własne* jego poczucie katolickie i *własny jego rozum polityczny.* Wynika z tego jasno, że „Katolik“ jak-

KRONIKA.

Przestrzeń od hotelu rzymskiego do narożnika ulicy, ochrzconej przez element napływowy sympatycznem nazwiskiem Bismarcka, jest linią spacerów. Poprawnie po polsku wyrażający myśli swe Poznańczyk nazywa przestrzeń tę „sztrychem.“ Otóż ów „sztrych“ poznański zaludnia się w niezwykły sposób pod wieczór.

Błyskają jeden po drugim białe księżyce lamp elektrycznych. Ze składów biją świetlane łuny — a na ulicy tłum z każdą chwilą się wzmaga. Coraz to nowe twarze. Gwar trochę a la wieża Babel. Oprócz uznanego przez komisarzy policyjnych języka niemieckiego, słyszy się także język tubylców.

Dotąd bowiem nie ma wyraźnego prawa, broniącego mówić na ulicy po polsku, choćby w Poznaniu.

Właśnie namyślałem się z tego powodu nad obfitością łask, które na nas spływają od stu lat, gdy z zamyślenia zbudził mnie znajomy głos:

— Chodź ze mną nakarmić ducha wiedzy strawą.

— Mówisz stylem Ben Akkiby, ale wyrażaj się wschodni proroku jaśniej, choćby z krzywdą patosu, inaczej bowiem rzucę cię na pastwę samotności i nie będę towarzyszem kroków twoich.

Oracya moja poskutkowała.

— Idę do akademii.

— Tej hakatystycznej! — Ci panowie od tej instytucyi wydali wspaniały w swym rodzaju elaborat. — Zaraz w pierwszym paragrafie twierdzą, że nauka i tym podobne inne nieznane i obce im rzeczy są wymyślone jedynie „zur Hebung des Deutschtums in den Ostmarken.“ Zresztą nic to nowego w rejestrach ludzkiego zaślepienia. — Turcy za dobrych czasów wierzyli, że ziemia cała tylko dla wyznawców Islamu stworzona. I w imię tego niszczyli inne rasy i — rzeczywistą kulturę. Dzisiaj za to przy Macedonii nawet utrzymać się nie mogą.

W ten sposób rozumując doszliśmy do gmachu, gdzie wysłańcy brandenburskiej Sparty głoszą „wolne słowo,“ „prawdziwej, żadnym ubocznym celom nie służącej“ wiedzy.

Sala przepełniona. Z kantorów nabiegło bardzo wiele żydków. Zwyczajem wyniesionym jeszcze ze sławnej ucieczki przed wojskiem faraonów semiccy słuchacze powyciągali z otłuszczonych papierów żer, gdyż brakło jeszcze kilka minut do rozpoczęcia się prelekcyi.

„Płeć piękna“ reprezentowana dość licznie. — Trudno o miejsce.

Znów otwierają się drzwi i nowy za-

kolwiek pozornie poddał się pod rozkazy komitetu polskiego, nie uznaje go za *władzę*, której *koniecznie i bezwzględnie słuchać należy*. Nic więc dziwnego, że jego czytelnicy, którzy niestety stanowią jeszcze ogromną część polskich wyborców na Śląsku, nie poszli za głosem Komitetu wyborczego, w okręgu pszczyńsko-rybnickim nie pojawili należycie kandydatów polskich, a w innych okręgach, z wyjątkiem *przemysłowego*, gdzie na szczęście wielki już wpływ mają „*Głos Śl.*“ i „*Górnoślązak*“, nie wstrzymali się od wyborów. „Katolik“ dopuścił się tu grzechu, który dotkliwie odbić się może na całej dalszej akcyi narodowej na Śląsku. Zamiast nakłaniać i *przyzwyczajać* wyborców śląskich do posłuszeństwa dla nowej polskiej *władzy wyborczej*, on ich wprost *buntował* przeciwko tej władzy i *powagę jej osłabiał*. Wobec tego nie jest to bynajmniej dowodem rzekomej naszej „niemocy“, że w okręgu *pszczyńsko-rybnickim* wybrano tylko 140 polskich „walmanów“ na ogólną liczbę 700. Przeciwnie, zważywszy nadto, że Komitet, jak to już na wstępie zaznaczyliśmy, nie rozwinął należytej agitacyi, dziwić się wprost trzeba, że *tylu* nawet uzyskaliśmy „walmanów“. Stosunek stronnictw w tym okręgu tak się z tego powodu ułożył, że żadne nie miało *absolutnej większości*. Stronnictwo rządowe wybrało bowiem 345 walmanów, a centrum 230. Ponieważ centrum *wraz z Polakami* mogłoby było pokonać rządowców, polski komitet wyborczy zaproponował centrum kompromis za cenę odstąpienia Polakom *jednego* mandatu. Centrum jednakże tę propozycyą *odrzuciło* i wolało na tej samej podstawie zawrzeć kompromis z *rządowcami*. Rezultat wyborów w tym okręgu był więc taki, że wybrano *dwóch centrowców i jednego rządowca*.

Hasło wstrzymania się od wyborów znalazło posłuch tylko w okręgu *bytomsko katowickim*, gdzie wskutek tego przepadli kandydaci centrowi, a wybrani zostali dwaj *rządowcy*. Centrum straciło więc tylko *trzy mandaty*, co niestety nie można uważać za *dostateczną* na razie dla niego *karę i nauczkę*. Wybrany przecież został dzięki bałamuctwom „Katolika“ nawet główny wróg ludu polskiego, hr. *Ballestrem* (w okręgu gliwicko-lublinieckim!)

Charakterystyczny przebieg miały wybory w okręgu *opolskim*. Tam, jak donosiliśmy, „Gazeta Opolska“ starała się na własną rękę przeprowadzić wybór majora *Szmuli*. Centrowcy jednakże obalili tę kandydaturę, jakkolwiek zarówno major Szmula jak i „Gazeta Opolska“ wyparli się wszelkiej styczności z polskim komitetem wyborczym. Rezultat walki był zaś taki, że major Szmula zyskał tylko 200 głosów i *przepadł*, a wybrany został Niemiec Vogt, urzędowy kandydat stronnictwa Centrum.

Jakkolwiek szczerze ubolewać można, że ten dzielny szermierz w obronie ludu polskiego nie wejdzie już do sejmu pruskiego, to nie można mu oraz redaktorowi „Gazety Opolskiej“ oszczędzić zarzutu, że sami poniekąd narazili się na tę klęskę dziwną swoją *połowicznością*. Łatwo bowiem być może, że gdyby byli jawnie i otwarcie wywiesili *sztandar polski*, lud byłby z większym zapałem stanął do walki. W każdym zaś razie klęska byłaby dla nich bardziej *honorowa*. Tak bowiem równa się — przepraszamy za zbyt ostre może wyrażenie — kopnięciu ze strony centrum narzucających mu się zwolenników.

Ważną i aktualną wobec tego stała się teraz kwestya, jakie stanowisko zajmie p. major *Szmula w parlamencie*. Czy po tem „kopnięciu“ ze strony Centrum dalej jeszcze będzie należał do parlamentarnego stronnictwa centrowego, czy też wystąpi z niego? Naszem zdaniem powinien pan major uczynić to ostatnie, a następnie wraz z posłem *Królikiem* wstąpić do *Koła polskiego*.

Centrum okazało więc znów wyraźnie, że jest w gruncie rzeczy stronnictwem „*par excellence*“ *antipolskiem*. W dwóch przecie okręgach wolało zawrzeć kompromis z wrogami Kościoła polskiego, *zamiast z ludem polskim*.

Ale i w tym wypadku sprawdza się stare przysłowie, że nie ma tego złego któreby ostatecznie na dobre nie wyszło. Te zajścia i doświadczenia przy wyborach sejmowych uważać już możemy za *ostatni* objaw *zamieszania przejściowego* w walce naszej *o Śląsk*. Wyjaśniły one do reszty położenie i skupiły ostatecznie żywioł polski w tej dzielnicy piastowskiej *w jeden obóz*. Teraz bowiem i „Gazeta Opolska,“ która ze względu na majora *Szmulę* trzymała się na uboczu, *przeszła z rozwiniętym sztandarem pod władzę polskiego komitetu*. W ostatnim swym numerze wzywa wszystkich swoich czytelników, którzy należeli do organizacyi centrowych, aby z nich wystąpili.

Organizacya polska obejmuje więc

---

stęp pragnących wiedzy. Powstaje ogólny szmer, w którym przeważa słowo „kikste“. Brudne palce żydziaków skierowały się na drzwi.

Do sali wchodził mały zastęp kleryków, rozglądających się bezradnie za wolnemi miejscami.

Trąciłem mego towarzysza.

— A ci tu po co?

— Na Boga cicho! Nie znasz się na tem. Kościół wyzwala się z „dawnych przesądów.“ — Liberalizm! — Takie przetarcie się młodych ludzi — konieczne. Zresztą seminaryum! Nie będziesz chyba twierdzi, że wystarcza. — No a potem — jeszcze — tak wiele...

— A naród co na to? Przecież wielkie podobno oburzenie. Piszą o tem.

— Eh — trudno wreszcie wszystkim naraz dogodzić. — Naród — naród! A rejencyi, to pewnie nie ma w Poznaniu? — A ciekawym kto więcej znaczy.

Dalszą rozmowę przerwały oklaski. Na katedrę wszedł jeden z mędrców XX wieku. —

W myślach stanęły mi wykłady ludowe imienia Mickiewicza. Inne tam hasła zwołały lud.

Silnie płynie szumiąca życiem rzeka i groble pruskie nie wstrzymają tych fal.

Tylko śmiało i raźno do pracy. Jeszcze niedawno pisał Kasprowicz:
„Hej odłogiem leży nasza rola
Choć są ziarna nie ma rąk do siania!“

Lecz rąk tych dzięki Bogu z dniem każdym przybywa. Wobec zbliżającego się co prawda czasu tańców i innych wesół, chodzi nieraz przedewszystkiem o nogi. Na ten temat będę pisał, gdy się na dobre roztańczymy.

Tymczasem wspomnę o rękach młodych i dzielnych. Dochodzi mnie właśnie wieść, że pan Michał Sobeski otwiera laboratoryum chemiczne naprzeciw kościoła na św. Łazarzu. Jest to radosna nowina. Zdobyta nowa placówka. Mówię już zdobyta, gdyż brak podobnego przedsiębiorstwa od dawna dawał się odczuwać. Pan Sobeski przychodzi do nas bardzo w porę i otwiera nową gałąź przemysłu.

Poświęciwszy dzisiejszy feleton dodatnim objawom życia naszego muszę zarejestrować jeszcze ważny fakt. W pierwszych dniach grudnia otworzoną będzie wystawa robót kobiecych. Wystawa ta tak dobrze zapisała się roku przeszłego w pamięci naszego społeczeństwa, że właściwie zbyteczną byłoby rzeczą zachęcać do zwiedzania, wystarczy przypomnieć jedynie o otwarciu wystawy.

Skoro się tylko otworzą podwoje składu przy Rycerskiej ulicy dla gości, spieszmy podziwiać pilność i zręczność naszych pań. Komu zaś nie wystarczają przyjemności duchowej natury, ten znajdzie także innego rodzaju delicye przy niezrównanym w swym rodzaju bufecie wystawy.

Zyżko.



już *cały Śląsk polski!!* Co się tyczy „Katolika,“ to potępiając surowo te ostatnie jego bałamuctwa, pocieszamy się nadzieją, że będą one już rzeczywiście *ostatniemi*, że odtąd, gdy pękły nareszcie wszelkie węzły, łączące go przez tyle la' z stronnictwem niemieckiem, organ bytomski *uprzytomni sobie, jakie ciążą na nim obowiązki narodowe i że będzie je teraz spełniał tem skwapliwiej, aby się zrehabilitować w oczach narodu polskiego.*

Szczególną pociechą i radością w tej walce było dla nas zachowanie się *księży polskich na Śląsku.* Z tych, którzy przyłączyli się do ruchu narodowego, cofnął się tylko jeden, reszta z podziwu godną odwagą wytrwała na wyłomie. Księży tych jest podobno razem siedemnastu (17). Na ich czele kroczą z otwartą przyłbicą ks. *Skowroński, ks. Pędziałek, ks. Kulka.* Ostatni zdobył się nawet na czyn wprost heroiczny: oświadczył publicznie, że w sprawach politycznych i narodowych ludność polska *nie potrzebuje słuchać księży Niemców.* To w stosunkach śląskich *sukces ogromny.* I nawet gdyby te przejściowe wypadki ostatnich miesięcy nie były wydały innego rezultatu, jak tylko *ten,* możnaby bez przesady twierdzić, że *przyniosły one sprawie śląskiej wspaniałe zwycięztwo.*

Co było — minęło. Pięć lat teraz ma polski komitet wyborczy na Śląsku czasu do wzmocnienia swej organizacyi. Pięć lat, to długi przeciąg czasu. Miejmy też nadzieję, że za pięć lat święcić będziemy na Śląsku *tryumf*, o którym dziś nawet jeszcze zamarzyć nie mogliśmy. Co daj Boże!

Raciborzanin.



Biskupi polscy

dla Ameryki północnej.

Sprawa mianowania biskupów polskich dla dwumilionowej ludności polskiej Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej zajmowała w ostatnim czasie żywo opinię polską. Smutne stosunki kościelne, jakie wytworzyły się wśród wychodźców naszych na ziemi amerykańskiej, a które odbijają się bardzo szkodliwie także na ich życiu narodowem, wymagają skutecznych środków zaradczych. Duchowieństwo polskie w Ameryce północnej uznało za najlepszy taki środek utworzenie tam *polskich dyecezyi* z polskimi biskupami na czele. Projekt ten napotkał jednakże na znaczne trudności. Polacy w Stanach zjednoczonych rozrzuceni są po wielkich przestrzeniach wśród katolików innych narodowości i wśród już zorganizowanych dyecezyi, tak że nowe polskie biskupstwa tworzyłyby niejako dyecezye w dyecezyach, a taka organizacya sprzeciwia się zasadom administracyi i hierarchii kościelnej. Równocześnie wchodziły tu w grę także względy polityczne. W Watykanie obawiano się podobno narazić rządom zaborczym a także rządowi Stanów Zjednoczonych. Wreszcie przyłączyła się do tego ta okoliczność, że żądania Polaków napotykały na opór *biskupów* już istniejących dyecezyi amerykańskich, w których Polacy mieszkają. To też wiadomości o widokach podjętych w tej sprawie usiłowań brzmiały bardzo niepomyślnie, twierdzono nawet, że Watykan żądania polskie stanowczo odrzuca.

Obecnie ukazał się w wiedeńskiej „Politische Correspondenz,“ organie używanym zwykle do półurzędowych enuncyacyi, obszerny komunikat, pochodzący widocznie z kół watykańskich, który wyjaśnia stan sprawy i zapewne ma na celu wybadanie opinii czynników wchodzących w grę w tej sprawie.

Komunikat stwierdza na wstępie, że Kongregacya propagandy zajmuje się tą kwestyą. — Dalej zaznacza, że ludność polska Stanów Zjednoczonych wynosi rzeczywiście około dwóch milionów, że w dyecezyi buffalowskiej tworzy ona połowę ludności katolickiej, a w Chicago zbitą masę o sile 250.000 głów. Już przed sześciu laty wystosowali Polacy amerykańscy do Watykanu prośbę o polskich biskupów, a gdy nie otrzymali stanowczej odpowiedzi, wysłali do Rzymu dwóch delegatów, ks. Kruszkę i członka kongresu amerykańskiego Mahanyego, wybranego głównie głosami polskiemi. Polacy na poparcie prośby wskazali na to, że Niemców w Stanach Zjednoczonych jest około trzech milionów, a mają oni dwóch arcybiskupów i 13 biskupów swej narodowości i że odmowa mogłaby popchnąć Polaków do odszczepieństwa. W ostatnich mianowicie latach powstał w Stanach Zjednoczonych polski „katolicki Kościół niezależny“. Liczy on już przeszło 60.000 zwolenników, a liczba polskich schyzmatyków wzrosłaby, gdyby emigranci polscy przyszli do przekonania, że Stolica św. nie chce wysłuchać ich prośby.

Dalej dowiadujemy się z komunikatu, że delegat Polaków Mahany, który jest osobistym przyjacielem prezydenta Roosevelta, otrzymał od niego polecenie, aby oświadczył w Watykanie, że rząd amerykański nie ma nic przeciwko spełnieniu żądań polskich. Natomiast z episkopatu amerykańskiego oświadczyło się przeciwko nim więcej niż trzy czwarte biskupów, a za niemi tyl-

---

Z TEATRU.

„Chata za wsią“, dramat ludowy w 5 aktach ze śpiewami i tańcami przez Zofię Mellerową i J. K. Galasiewicza. Muzyka Zygm. Noskowskiego.

Zetknięcie się dwóch odrębnych ras, dwóch różnych kultur, dwóch obcych światów było po wszystkie czasy niewyczerpanem źródłem twórczości poetyckiej.

Czy to będą pieśni Homerowe, czy starosłowiańskie rapsody, czy niemieckie Niebelungi — podkład zawsze ten sam.

Na podobnem tle, choć w mniejszych rozmiarach warunków osnuł Kraszewski swą powieść „Chata za wsią“. A temat ten odtąd nie przestaje nęcić poetów.

Pod zdolnem piórem Zofii Mellerowej i Galasiewicza „Chata za wsią“ staje się utworem scenicznym. A w ostatnich znowu czasach temat ten zużywa Paderewski jako podkład pod operę swoją „Manru.“

Sobotni wieczór dał nam „Chatę za wsią“ Mellerowej i Galasiewicza. — Wystawienie wypadło dobrze i gdyby nie nabroiły trochę chóry to możnaby śmiało twierdzić, że wieczór sobotni był świetnym.

Role były rozdane, — co nie zawsze się zdarza — nadzwyczaj szczęśliwie. Dwa światy — cygański — i ludu karpackiego — były dobrze scharakteryzowane.

Z jednej strony pani Orwid — wspaniała cyganka, namiętna, porywcza — nieokiełznane dziecię swobody. — Z drugiej zaś strony prawdziwy typ dziewczęcia ludu polskiego — odtworzony świetnie przez panią Łącką. Gra obu pań trzymała na uwięzi uwagę widzów, oddech zapierał się w piersi. Mianowicie Motruna była kreacyą ze wszech miar piękną.

Z żeńskich ról wymienić wypada przedewszystkiem jeszcze p. Grabowską w roli Korduchy. Jeżeli artystka w niewielkiej nawet roli potrafi skupić na swej osobie uwagę, to fakt ten przemawia bardzo korzystnie o jej zdolnościach. Na uznanie takie zasługuje w zupełności gra panny Grabowskiej.

Pan Wiślański oddał rolę swą jako Tumry ze znaną rutyną. Wahanie się jego kiedy na głos piosenki rodzin-

ko 15. Między ostatnimi jest jednakże wpływowy arcybiskup Gibbons.

Kongregacya propagandy w najbliższym czasie poweźmie decyzyę w tej sprawie i to prawdopodobnie w tym kierunku, że obierze drogę pośrednią. Nie zamianuje wprawdzie samodzielnych dyecezyalnych biskupów polskich, ale w dyecezyach, gdzie polski żywioł znajduje się w znacznej liczbie, przydzieli biskupom generalnych wikaryuszów narodowości polskiej. Polacy — jak przypuszcza komunikat — zadowolnią się tą koncesyą, jeżeli generalni wikaryusze, jako biskupi „in partibus infidelium'', otrzymają prawa biskupie.

I my sądzimy, że wychodźcy nasi na razie mogliby się zadowolić tym objawem pieczy i troskliwości Stolicy św.

Czujny.

Wyludnianie się Francyi.

Wyludnianie się Francyi, a raczej na razie jeszcze tylko zastój w przyrodzie jej ludności, jest nagle przedmiotem ożywionych rozpraw w osobnych broszurach i artykułach dzienników francuzkich. Swieżo w artykule wstępnym jednego z ostatnich numerów „Journal'a'' zajmuje się tą sprawą Jules Claretie w formie sprawozdania z interesującej broszury Piotra Baudina p. t. „Forces perdues'' — „Siły stracone.''

Nawiązując mianowicie do ogłoszonych przez „Journal officiel'' dat o ruchu ludności francuzkiej za rok 1902, Claretie tak pisze:

„Spojrzyjmy na tablice porównawcze nadwyżki rocznej narodzin nad zgonami, obliczonej na 10.000 mieszkańców w różnych krajach Europy. Niemcy od roku 1896 do 1900 powiększyły swą ludność na 10.000 mieszkańców o 147 osób, Norwegia o 146, Austrya o 116, tak samo jak Anglia, Belgia o 109, Holandya (kraj, w którym liczba narodzin wydaje się najwyższą) o 150. Francya — a cyfra ta jest złowrogą w porównaniu z innemi — na 10.000 mieszkańców daje nadwyżkę urodzin 13. Przed siedemdziesięciu laty ta nadwyżka wynosiła niżej 67; przed sześćdziesięciu laty 54, a przed czterdziestu laty 38. Zupełny spadek z roku na rok — i tylko w „strasznym roku'' spostrzegam bardziej zastraszający wynik. Pomiędzy rokiem 1871 a 1875 czyż nadwyżka narodzin nie wynosiła wszystkiego 5 na 10.000 mieszkańców?

„Na podstawie tego rachunku, nie będąc wcale prorokami złowróżbnymi, możemy przepowiedzieć, jako rzecz nieuniknioną, matematyczne nadejście chwili krytycznej dla Francyi w obliczu jej rywali i to w czasie najbliższym....

„...Wszelkie frazesy nic nie pomogą, to jest fakt i to jest przyszłość. Z Alzacyą i Lotaryngią straciliśmy półtora miliona mieszkańców, ale zapominamy, jak mówi gdzieś p. Blondel, że od roku 1870 nasza słaba rozrodczość pozbawiła nas ludności liczbą o ośm do dziewięć razy większą!

„U nas liczba małżeństw się zmniejsza. Było ich w roku 1902 okrągło o 8.683 mniej niżli w r. 1901. Zmniejsza się cyfra narodzin, wzrasta alkoholizm i stale wnika w społeczeństwo zło, które p. Brieux po swojemu w teatrze przedstawił. Mnożą się też owe straszliwe newrozy, które w jednym i tymsamym tygodniu wtrącają do celi szpitala waryatów: nieustraszonego aeronautę Eugeniusza Godarda i poetę Maurycego Rollinata. Oto dostateczne powody do smutku i do gorzkich rozmyślań.

„A jednak u góry śmieją się, mają dowcip, bawią się: „To wszystko nie ma żadnego znaczenia!'' U dołu zrozpaczeni burzą się, mózgi przesiąknięte alkoholem napełniają się nienawiścią, albo też nieszczęśni abdykują. Uczeni, jak p. Daremberg, w świetnych artykułach, lub p. Debore w bolesnych rozprawach, dotykają palcem rany: mniej dzieci, więcej zbrodni, mniej rekrutów zdrowych, więcej rachitycznych i obłąkanych...''

Obraz to bezwątpienia mogący przerazić patryotę francuskiego, ale nie nowy, a tak samo jak dotąd, podany bez konsekwencyi, bez środków zaradczych. Pod tym względem ani Piotr Baudin, ani Juliusz Claretie nie posunęli sprawy naprzód. Obaj wprawdzie wołają: „Defendons-nous'' — brońmy się!, ale jedynym pozytywnym warunkiem jest wezwanie do pomnożenia i wzmocnienia floty francuskiej, zwłaszcza wobec wzrastającej bezustannie przewagi amerykańskiej. Czy jednak zagadnienie to — choć zapewno ważne ze stanowiska polityki bieżącej — potrafi podnieść przyrost ludności francuskiej i zarówno fizyczne jak moralne jej zdrowie? — o tem powątpiewać można.

Lector.

nej duszę jego obległy wspomnień roje, było prawdy pełne, i chwytało za serce świetnem oddaniem walk biednej duszy cygańskiej.

Na końcu co do porządku, lecz bynajmniej nie co do gry wymieniam pana Pawłowskiego w roli Janka. W roli swej tak trudnej pod wielu względami wykazał pan Pawłowski ogromne zrozumienie rzeczy i dzięki jego inteligencyi gra jego zostawiła wielkie wrażenie.

Tego utrzymania właśnie roli w odpowiednich granicach nie potrafił przestrzedz np. pan Czerniak, dając nam nie człowieka pijanego, co leżało w programie, lecz prawie idyotę mocno odbijającego od całej sceny przekleństwa ojca Lepiuka.

K. R.

Korespondencya.

Z Galicyi, dnia 18 listopada.

(*Co zdziałał ostatni Sejm galicyjski?*)

Różne przyczyny złożyły się na to, że dziś dopiero mogę wam dać pogląd na rezultaty sesyi *Sejmu galicyjskiego*, zamkniętej już przed dwoma nieomal tygodniami. Ponieważ jednakże o ważnych sprawach, zwłaszcza gdy dotyczą nietylko bieżącej chwili, lecz także *przyszłości*, nigdy nie zapóźno mówić i pisać, więc też i dziś jeszcze to moje sprawozdanie ma cechę aktualności.

Dawno już Sejm galicyjski nie obradował w jednej sesyi tak długo jak teraz — bo całe 6 tygodni. A jednak — przykro to wyznać — w rezultacie nie wiele zrobił. Główną przyczyną niepomyślnego tego wyniku jego pracy był fakt, że musiał uchwalić aż *dwa budżety*, bieżący i na rok przyszły. Wobec zaś znacznego wzrostu budżetów galicyjskich, nietylko co do cyfr, ale i co do ilości pozycyi, dalej i z tego powodu, że od ostatniego Sejmu upłynęło już 15 miesięcy, przez co nagromadziła się wielka ilość nowych żądań budżetowych, załatwienie tej czynności zabrało zbyt dużo czasu. Nakoniec od początku do końca sesyi ciążyła nad Sejmem sprawa gimnazyum ruskiego w Stanisławowie, która odwracała uwagę posłów od innych żądań. Oto powody, dla których Sejm w tej sesyi stosunkowo tak mało zdziałał. Niezałatwioną pozostała przedewszystkiem „sprawa nad sprawami'' a mianowicie *sprawa reformy gminnej*, tak potrzebna, jeżli gminy galicyjskie mają sprostać swym obowiązkom kulturalnym. Niestety, trudno jeszcze dla tej reformy znaleść taką formułkę, któraby co do przyszłego ukształtowania stosunków między *gminami wiejskiemi a dworami*, uzyskać mogła w Sejmie większość. To też świadomość tego, że cokolwiek by się w tym kierunku opracowało, poszłoby na marne, sprawia, że

ani rząd państwowy ani autonomiczny jąć się tej sprawy nie chcą.

Podobnie rzecz się ma z drugim ważnym przedmiotem, który oddawna stoi na porządku obrad opinii publicznej, z *reformą ordynacyi do Sejmu galicyjskiego*. Dzisiejsze sejmy nie zasługują właściwie na miano sejmów *krajowych*, są bowiem tylko reprezentacyami wyższych, a więc bardzo szczupłych sfer społecznych, mianowicie ziemiaństwa.

Coraz też bardziej utrwala się przekonanie, że konieczną jest dla Sejmu szersza wyborcza podstawa, któraby otwierała doń przystęp w znaczniejszej mierze także innym warstwom społecznym. Przekonanie to panuje nietylko wśród demokratycznych żywiołów szlacheckich. Ale tak samo, jak przy reformie gminnej rozbiegają się jeszcze zdania co do rozmiarów i kierunku rozszerzenia prawa wyborczego sejmowego.

Nie mógł się też Sejm zająć ponownie sprawą *włości rentowych*, których potrzebę ogół galicyjski również coraz bardziej odczuwa. Ale to nie jest już winą Sejmu. Tu głównym winowajcą jest austryacki *rząd państwowy*, który coraz nowe sprawie tej stawia trudności.

Znamienną natychmiast cechą ubiegłej sesyi sejmowej była bardzo silna u wszystkich stronnictw dążność do bardziej wytężonej działalności *samorządu krajowego*, przedewszystkiem na polu ekonomicznem. Jest to objaw bardzo pocieszający, jest dowód, że i Sejm galicyjski, chociaż na tak bardzo ciasnej podstawie wyborczej oparty, nie może się oprzeć żywotnym prądom w społeczeństwie. Pod względem reform politycznych i społecznych jeszcze ten Sejm ściśle zamyka wszystkie okiennice, ażeby świeży powiew z warstw ludowych nie zamącił spokoju rządowych sfer. Ale co do życia *ekonomicznego*, które bez wydatnej pomocy kraju rozwinąć się nie może, postęp w pojęciach wszystkich niemal członków Sejmu jest widoczny.

Podczas, gdy przed 22 laty z wielkim tylko trudem powiodło się uzyskać od Sejmu na popieranie przemysłu i rękodzielnictwa krajowego śmiesznie małą kwotę pięciu tysięcy guldenów, podczas gdy i w latach późniejszych większość traktowała tę sprawę prawdziwie po macoszemu, uchwalono obecnie wstawić do budżetu na przeciąg lat 35 rocznie kwotę *50,000 guldenów*, (85,000 marek) wraz z upoważnieniem Wydziału krajowego do ewentualnie rychlejszego eskontowania kwot czyli rat następnych aż do wysokości 500,000 guldenów. Jeżeli Wydział krajowy skorzysta z tego upoważnienia, to wraz z pięcioletnią dotacyą sejmową i z kwotami, zwracanemi przez dotychczasowych dłużników funduszu przemysłowego będzie przez najbliższe lat pięć do dyspozycyi na cele krzewienia przemysłu przeszło *milion guldenów*. To wprawdzie nie dosyć jeszcze dla tak wielkiego kraju, jak Galicya, ale zawsze znacznie więcej niż było dotychczas, a w związku z uchwaloną przed rokiem ustawą o *ulgach podatkowych* dla nowych lub udoskonalonych przedsiębiorstw przemysłowych, jest poważną dla przemysłu *pomocą i zachętą*.

Gorzej poszło z wnioskiem o poparcie finansowe założyć się mającego *„Banku przemysłowego.“* Sejm nie zdecydował się na uchwalenie tego wniosku i odroczył sprawę przez odesłanie jej do Wydziału krajowego. Natomiast załatwiono pomyślnie cały szereg innych pomniejszych ustaw dotyczących rozmaitych gałęzi przemysłu, że się tak wyrażę ustaw *specyalnych*.

Podobnie rzecz się ma z *rolnictwem*. I tu sejm podwyższył znacznie wydatki w budżecie między innemi szczególnie zasiłki dla obu krajowych *Towarzystw gospodarskich i dla Kółek rolniczych* i to zarówno na ich cele ogólne jak i na specyalne, mianowicie na popieranie poszczególnych gałęzi rolnictwa. Kredyt na budowle wodne i melioracye Sejmu podwyższył o 197.623 koron, uczynił krok decydujący w sprawie regulacyi rzek kanałowych i polecił Wydziałowi Krajowemu, aby przeprowadził z rządem rokowania co do 5 milionowej pożyczki bezprocentowej na przeprowadzenie na większą skalę drenowań.

Najmniejszy może postęp zaznaczył się w sprawach szkolnych. Znaczne podwyższenie wydatku na szkoły ludowe nie jest bowiem zasługą tegorocznej sesyi lecz wynika z dawniej uchwalonych ustaw o polepszeniu płac nauczycielskich. Pozatem powzięto jedynie uchwałę, otwierającą abituryentom szkół realnych dostęp do uniwersytetów.

Oto wszystko, pominąwszy kilka innych spraw mniejszej wagi, co Sejm ubiegły zdziałał. Nie wiele tego. — Ostatecznie jednakże w dzisiejszych warunkach i z tego zadowoleni być możemy.

Galicyanin.



Z TYGODNIA.

Rok bieżący możnaby nazwać słusznie rokiem *podróży monarszych*. Dawno już bowiem świat europejski nie widział w ciągu kilku miesięcy takiego ruchu na dworach, tylu wzajemnych wizyt głów koronowanych, jak w tym roku. Jeździł cesarz Wilhelm, jeździł król angielski Edward, jeździł car Mikołaj, a wreszcie poszedł za ich przykładem król *włoski* — nie licząc już potentatów średniej i niższej kate-

Z literatury i sztuki.

Towarzystwo poznańskie Przyjaciół Sztuk Pięknych przeniosło w ostatnim czasie *wystawę obrazów* z placu Królewskiego na ulicę Wilhelmowską 19, gdzie świeżo następujące zawieszono prace: Nowiny „Pejzaże“ Eugeniusza Steinberga z Krakowa, „Brzozy nad cichą wodą,“ „Powiew śmierci,“ prof. Lutterotha „Serya akwarel z wybrzeża afrykańskiego,“ Kazimierza Szmyta „Portret posła Brodnickiego“, „Portret Kazimierza Krzyżanowskiego,“ „Autoportret“ i „Krajobrazy z Puszczykowa“, N. Dahlsena z Turyngii „Jeleń“, J. K. Stekłosińskiego „Portret Patrona Jackowskiego,“ M.. i J. Germanówny „Krajobrazy“ i „Studya,“ K. Krzyżanowskiego „Powrót do domu,“ Lepage „Gra w kostki.“ Prócz tychże znajdują się prace: Jana Matejki, Kędzierskiego, Wywiórskiego, Wodzinowskiego, Kamockiego, Skoczylasa, Szczyglińskiego, Sichulskiego, Graczyńskiego, Stryczyńskiego, Jaroczyńskiego, Majewskiego, prof. Riessa, Walerego Eliasza, Czajkowskiego, Mycielskiego, Emilii Liszkowskiej, Marciakowskiego, Czaplińskiego, Flauma i innych.

* * *

„Encyklopedji staropolskiej ilustrowanej“, wychodzącej od lat czterech pod redakcją zasłużonego pracownika na polu starożytności krajowych, Zygmunta Glogera, wyszedł świeżo z druku tomu IV, zeszyt 11, a zarazem ostatni.

Zeszyt obejmuje szereg artykułów, zaczynających się na ostatnie dwie litery alfabetu, są w nim więc skrzętnie i umiejętnie zebrane wiadomości o: Zamkach, Zapustach, Zausznicach, Zborach, Zegarach, Ziemiach, Ziemstwach dawnych, Złotnictwie, Zniczu, Zwierzyńcach, Żalach, Żubrach, Żupanach, Żupnikach i Żupach. Na końcu zeszytu autor dodał: sprostowania, zdanie sprawy z całego ciągu pracy i wydawnictwa, oraz tablicę kolorowaną, przedstawiającą: pachołka, towarzysza i oficera wojska w. ks. litewskiego z r. 1775. Po czterech latach ciężkiej i mozolnej pracy, połączonej niekiedy z wielkiemi

goryi. Królestwo włoscy zaledwie wrócili z Francyi zaraz wybrali się z wizytą do Anglii. Lecz podobnie jak w życiu prywatnem tak i w życiu publicznem narodów wszystko, co się zbyt często powtarza spowszednieje. Tak i te podróże monarchów. Podczas gdy jeszcze zjazd cara Mikołaja z cesarzem Wilhelmem budził w świecie politycznym wielkie zainteresowanie, a także podróż królewskiej pary włoskiej do Francyi dawała powód do rozmaitych kombinacyi, obecna jej wizyta w *Anglii* nie zwróciła już ogólniejszej uwagi. Pisano o niej, jak o wypadku zwyczajnym, lecz nie zastanawiano się już głębiej nad jej ewentualnem znaczeniem i celami. Co prawda, to przekonano się dowodnie właśnie w tym roku, że zbyt wysoko napięte oczekiwania, przywięzywane do tego rodzaju zjazdów i wizyt, zwykle zawodzą, że w gruncie rzeczy niczego one nie zmieniają ani żadnych za sobą nie pociągają wypadków ważniejszych.

Pokazało się to zwłaszcza po podróży cara Mikołaja do Wiednia. Czegóż bo się po niej nie spodziewano mianowicie w sprawach bałkańskich! Mniemano już na pewno, że następstwem jej będzie co najmniej zbrojna interwencya *Rosyi i Austryi w Macedonii.* Tymczasem minęły już dwa miesiące, a i w tej sprawie właściwie nic się nie zmieniło. Rządy obu tych mocarstw wystósowały wprawdzie nowe noty do Turcyi ze znacznie rozszerzonemi żądaniami, ale sułtan jakoś nie uważał za potrzebne reagować na nie w większej mierze. Obecnie rozpoczął się w świecie muzułmańskim święty miesiąc *Ramazan*, podczas którego Turcy w dzień poszczą i jeszcze mniej pracują niż zwykle, to jest zgoła nic nie robią, w nocy zaś bawią się i używają. Zanosiło się więc na to, że podczas tego miesiąca sprawa macedońska, a raczej akcya dyplomatyczna mocarstw w tej sprawie odpocznie w aktach i w archiwach. Tymczasem donoszą, że ambasadorowie Rosyi i Austryi oświadczyli wielkiemu wezyrowi, iż święty Ramazan nic ich nie obchodzi, że i w tym miesiącu domagać się będą w dalszym ciągu decyzyi.

Ciekawa rzecz, czy to poskutkuje? Nam się zdaje, że nieszczęsna ta sprawa ani podczas Ramazonu, ani wogóle podczas zimy nie doczeka się rozwiązania, że rozstrzygnie się dopiero na wiosnę, a wówczas bardzo gwałtownie i bardzo *krwawo*.... Dla rządu księcia *bułgarskiego Ferdynanda* przerwa ta w akcyi macedońskiej jest zapewne bardzo na rękę. Wybory do Sobrania przyniosły mu wprawdzie większość w tem ciele prawodawczem, tak że z tej strony na razie nie potrzebuje się obawiać trudności. Ale wrzenie w kraju bynajmniej się nie uspokoiło i grozi wciąż jeszcze wielką burzą, której zażegnanie, jeźli wogóle okaże się możliwem, wymagać będzie bacznej uwagi i całej energii zarówno księcia jak i jego ministrów. Dowiedziano się też znowu, że Rosya po dawnemu bruździ na Bałkanie. Przypadek sprawił, że do rąk rządu bułgarskiego dostało się całe archiwum tajnego agenta rosyjskiego w Środcu, *Weissmanna.* Z archiwum tego wyszło na jaw, że Rosya lepsze posiada informacye o tem, co się dzieje i na co się zanosi w *Serbii i Bułgaryi,* niż rządy tych krajów. Weissmann wiedział nawet, co grozi królowi serbskiemu Aleksandrowi i nieraz go ostrzegał. Brał za to sute honorarya, a gdzie interes Rosyi wymagał tego, tam znów on płacił grubo i „poprawiał" szanse i widoki polityki rosyjskiej. Rząd bułgarski wydalił go z kraju, ale knowań rosyjskich, chociażby się na głowę postawił, wydalić nie zdoła.

Parę carską, która w powrocie z Darmsztadtu zatrzymała się w *Skierniewicach* w Królestwie, spotkał tam przykry wypadek. Zabrali oni z sobą 8-mioletnią siostrzenicę carowej, córkę księcia heskiego, Elżbietkę. Dziecko to nagle w Skierniewicach zachorowało i mimo szybkiej pomocy znakomitości lekarskich umarło. Urzędowe biuletyny twierdziły, że przyczyną śmierci był tyfus. Inne wersye z kół dworskich opiewały, że księżniczka zatruła się zepsutą ostrygą. Tymczasem pojawiła się także wiadomość, że śmierć jej nastąpiła wskutek zatrucia *strychniną*, którą zaprawiony był budyń, przeznaczony na stół carski. Ile w tej wiadomości prawdy, trudno stwierdzić. To pewna, że jeżeli zgadza się z prawdą, ów budyń nie był przeznaczony dla biednej tej dzieweczki, lecz dla *pary carskiej.* Piszą też, że carowa skosztowała go, lecz czując w nim jakiś smak nieprzyjemny, nie jadła więcej. Tak samo postąpił car i córeczki carskie. Tylko mała księżna heska spożyła więcej i przypłaciła to śmiercią.

Wiadomości te wywarły tem większe wrażenie, gdy po kilku dniach doniesiono oficyalnie, że i *carowa zachorowała.* Widmo zamachów nihilistycznych znów odżyło w dawnej grozie. Faktem jest, że ruch rewolucyjny w Rosyi przybiera obecnie coraz szersze rozmiary. Na pierwszy plan wysuwają się w nim teraz *żydzi.* Oni to dopuścili się świeżo w kilku miastach zamachów na urzędników policyjnych, oni też rozrzucają obecnie w Petersburgu ku utrapieniu policyi tysiące proklamacyi rewolucyjnych.

Gdyby śmierć księżniczki heskiej była rzeczywiście następstwem trucicielskiej zbrodni, ubolewać by trzeba, że stało się to na ziemi *polskiej.* *Społeczeństwo* polskie nie ma naturalnie nic wspólnego z tego rodzaju zamachami, bo brzydzi się niemi bardziej, niż jakikolwiek inny naród.

---

trudnościami, Gloger szczęśliwie dotarł do końca, i literaturę naszą encyklopedyczną wzbogacił dziełem, na które oddawna oczekiwaliśmy.

„Encyklopedja staropolska" zawiera 3,000 artykułów, z których znaczna część wyróżnia się obszernem i starannem obrobieniem, oraz 800 rysunków, wybornie ilustrujących zabytki mniej lub więcej oddalonej naszej przeszłości. Zaznaczyć nadto należy, że wszystkie ryciny są bardzo dobrze i sumiennie wykonane, dział też ilustracyjny stanowi prawdziwą ozdobę „Encyklopedji."

* * *

„Słownik języka polskiego" wychodzi nadal według planu swojego założyciela i naczelnego redaktora, ś. p. Jana Karłowicza. Szacowną pracę po nim prowadzi dalej najbliższy pomocnik jego, znakomity językoznawca Adam Antoni Kryński, oraz p. Władysław Niedźwiedzki.

Najnowszy, 16-ty zeszyt „Słownika", obejmuje wyrazy od Nieskrócony do Obożnictwo.

Koszt cennego wydawnictwa pokrywa w części także Kasa im. Mianowskiego.

* * *

W przepysznem, ornamentacyjnem wydaniu ukazał się *nowy dramat Stanisława Przybyszewskiego,* p. t. *„Śnieg".* Są to znowu tragiczne dzieje czworga ludzi, z piętnem symbolicznej Ananki. Nastrój dramatu jest ponury i denerwujący.

„Śnieg", to symbol łagodnego, cichego ukojenia, które spływa na rozbolałe dusze ludzkie, ale gdy śnieg stopnieje, syczy znów dawny ból i dawna tragedja.

Nowy dramat Przybyszewskiego w interpretacji scenicznej wywierać będzie niewątpliwie silne, ale przykre i przygnębiające wrażenie.

* * *

Pieśni Ossyana. Z toni zapomnienia wypłynął znowu Ossyan na powierzchnię naszego piśmiennictwa.

W *Austryi i na Węgrzech* w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Prezydenci gabinetów obu państw, dr. *Koerber i hr. Tisza* stoczyli w swoich parlamentach mały pojedynek o podstawy prawne wzajemnego stosunku obu części monarchii i o prawo Austryi do mieszania się w sprawy węgierskie. Tisza niegrzecznie nazwał Koerbera „dystyngowanym cudzoziemcem dyletantem,“ z którego zdaniem nikt się liczyć nie potrzebuje. Koerber odpowiedział w podobny sposób. Przypuszczano już, że ten zatarg obali dr. Koerbera — ale stało się inaczej. W Austryi nietylko posłowie w parlamentach ale i ministrowie prawią sobie wzajemnie niegrzeczności — a nikogo to nie razi!

Prezydent gabinetu francuzkiego Combes znów jakoś mocniej siedzi w siodle. W ostatnich dniach przeprowadził on w *senacie* ustawę, zabraniającą nauczania w szkołach także członkom autoryzowanych zakonów. Ustawie tej sprzeciwiał się nawet były jego protektor *Waldeck-Rousseau*, sprzeciwiał się obecny minister oświaty, lecz nic to nie pomogło. Snać obecni członkowie większości ciał prawodawczych francuzkich pozbawieni są już zupełnie wszelkiego poczucia sprawiedliwości, a nawet wszelkiej rozwagi.

Niemcy doczekali się nowego dowodu „miłości“ ze strony krajowców w południowo-zachodniej Afryce. Wielki szczep *Hottentotów*, tak zw. *Bondelzwartowie* sprzykrzyli sobie „słodkie ojcowskie“ rządy niemieckie, napadli na stacyą Warmbad, zabili dowodzącego tam porucznika Jobsta i kilku żołnierzy i rozpoczęli obławy na kolonistów niemieckich. Wiadomości urzędowe nadchodzą ztamtąd skąpo, słychać jednakże, że położenie ma być dla Niemców groźne. Nie ulega wątpliwości, że w końcu pokonają oni ten bunt głównemi środkami swej „wyższej kultury“, armatami i karabinami, ale wojenka taka może dużo kosztować a tu w skarbie Rzeszy *niedobór*. „Nikt nas nie lubi“ — powiedziałby może znowu stary *Moltke*, gdyby żył jeszcze. Tak jest, nikt ich nie lubi! Nawet Hottentoci radzi, gdy mogą ich wyprawić na łono Abrahama.

Wybory do *Sejmu pruskiego* nie zmieniły prawie wcale składu tego ciała parlamentarnego. *Konserwatyści i nacyonalliberałowie,* specyalni nasi wrogowie, mają w nim i nadal zapewnioną ogromną większość i mogą kuć w dalszym ciągu bezkarnie ustawy antipolskie.

Zamiar *socyalistów wtargnięcia* do Sejmu nie powiódł się. O własnych siłach dokazać tego nie zdołali, wolnomyślni zaś nie chcieli wdawać się z nimi w kompromisy. Naszych posłów czeka nowa droga krzyżowa. Niech pomoc Boga będzie z nimi!

M. O.



Przegląd prasy.

Na Ślązku pękło ostatnie ogniwo łączące Polaków z rozhakatyzowanem centrum. Padł dzielny obrońca ludu polskiego p. major Szmula, którego komitet centrowy na kandydata postawił, a z powodu którego centrowi hakatyści urządzili secesyą — i powstała przepaść pomiędzy ludem polskim a stronnictwem centrowem. Przepaść ta istniała od dawna, ale zawsze starano się ze strony polskiej połączyć jej brzegi, podczas gdy centrowcy sami, coraz więcej ją pogłębiali. Dziś już nawet takie ultracentrowe pisma jak „Kuryer Pozn.“ i „Katolik“ nie wygadują na tych, co wobec centrum postanowili zachować godność narodową.

Do ostatniej chwili Polacy w Opolskiem wiernie stali przy sztandarze centrowym, a kiedy ci właśne swoje hasła pogwałcili, natenczas lud polski przejrzał, że dłużej nie może wysługiwać się centrowcom. Wtedy wydał polski komitet wyborczy odezwę, w której pomiędzy innemi powiada:

„Rodacy! Ciężkie i gorzkie przeżyliście chwile! Jako ostatni na ziemi śląskiej probowaliście w w koręgu Waszym dochować przymierza centrowcom. Nie czyniliście tego z miłości ku centrowcom, bo samowolnego postępowania tych panów na ziemi naszej już niejednokrotnie boleśnie na własnej doświadczyliście skórze. Węzłem, który Was łączył z tą partyą, był długoletni Wasz poseł i dzielny, nieustraszony obrońca praw ludu polskiego, członek partyi centrowej pan major Szmula.

A jak Wam zapłacono za wierność Waszą? Oto fakt sam, że p. Szmula przyjacielem był Waszym, solą w okręgu Waszym dochować przycców; że pan major ludowi polskiemu drogi był, wystarczyło, żeby jadem nienawiści napełnić serca niemieckie.

I wzbierał ten jad nienawiści w piersiach niemieckich, aż przerwał wszelkie tamy, krępujące go dotąd: wzgląd na dobro sprawy centrowej, na hasła głoszone: za prawdę, wolność, prawo!..., i potokiem obrzygał czcigodną osobę ukochanego posła Waszego. Niebo i ziemię poruszono, ażeby go zwalczyć, podeptano uchwały własnych władz wyborczych, nie cofnięto się nawet przed

Stało się to za sprawą lwowskiego Towarzystwa wydawniczego, które w drugim tomie wychodzących jego nakładem „Pism Goszczyńskiego“ umieszczono całkowity przekład kaledońskiego poety. Jest to pokaźny tom, z 340 stronic złożony, poprzedzony przedmową tłumacza i objaśniony krótkim przypisem wydawcy. Goszczyński przekładał Ossyana podczas pobytu swego w Galicji r. 1832 przy pomocy Józefa Tetmajera i Szumińskiego z Tarnowa. Przekład ten raz tylko był wydany w niewielkiej liczbie egzemplarzy, we Lwowie 1838, w dwu tomach. Oba te tomy ściśnięto obecnie w jeden, starannie przytem poprawiono według autograficznej korekty tłumacza, przechowywanej na egzemplarzu z r. 1838 w muzeum rapperswylskiem. Niska cena 3 kor. uprzystępnia to przepiękne dzieło szerokim warstwom publiczności.

* * *

Księgarnia A. G. Dubowskiego w Warszawie wydała w dwu tomach *powieść p. Sylwerjusza Kondratowicza pt. „Taniec lichwy,“* napisaną na tle stosunków społecznych, przeważnie warszawskich.

* * *

St. Przybyszewski, autor nowego dramatu „Śnieg“, bawił w Kijowie, gdzie wygłosił kilka odczytów: „O Chopinie“, i „O nowych kierunkach w literaturze polskiej.“

* * *

„Halka“ w Petersburgu. Dnia 18. b. m. w operze rosyjskiej odbyło się przedstawienie „Halki“ Moniuszki. Myszuga w roli Jontka zbierał obfite oklaski. Orkiestra Filharmonii lwowskiej, pod dyrekcyą Ludwika Czelańskiego, grała świetnie. Sala była wypełniona po brzegi.

* * *

Sara Bernhardt, przed wyjazdem w świat występuje obecnie z wielkiem powodzeniem w Paryżu.

Sędziwa, ale wciąż oklaskiwana artystka grała trzykrotnie: w ubiegłą sobotę i niedzielę (rano i wieczorem) *„Damę kameljową.“*

Dzienniki z tego powodu przytaczają zdanie, niegdyś wyrzeczone przez Sarceya:

„Powodzenie „Damy kameljowej“ potrwa dotąd, dopóki we Francyi znajdować się będą serca wrażliwe; to nie skończy się jutro.“

—ski.



sojuszem (przymierzem) z lutrami i żydami, byle obalić kandydaturę posła, którego jedynym grzechem miłość ludu polskiego.

Te wybory otworzyły oczy i najgorętszym zwolennikom sojuszu z centrowcami, dały dowód niezbity, że dla ludu polskiego nie ma miejsca w obozie centrowym.

To też sądzimy, że tem chętniej się połączycie z resztą braci Waszych i tem gorliwiej spełnicie rozkazy, dane Wam przez „Polski Komitet Wyborczy dla Ślązka'', który już *cały lud górnośląski uznał za najwyższą swą władzę wyborczą.''*

Pan Koraszewski redaktor „Gaz. Opolskiej,'' który zasiadał w komitecie centrowym i któremu ze względu na p. majora Szmulę pozostawiono swobodę działania, przystąpił także do polskiego komitetu wyborczego. Zwrot ten tak p. Koraszewski w *„Gaz. Opolskiej''* uzasadnia:

„A zatem nie dosyć było, żeśmy popierali interesa partyi centrowej, nie dosyć było, żeśmy zalecali obydwóch kandydatów centrowych, więc i kandydata niemieckich katolików, p. Nadbyla. Nie! myśmy się mieli wyrzec naszego stanowiska polskiego, narodowego, a ogłosić „Gazetę Opolską'' pismem wyłącznie centrowem, a więc po polsku pisanym organem partyi niemieckiej. Ponieważ oświadczenie nasze brzmiało wprost przeciwnie, ponieważ zawarowaliśmy sobie zupełną swobodę działania jako niezależne pismo polskie, które w pierwszym rzędzie ma na celu interesa ludu, zarzucono nam „zdradę.''

Rozmaite mogą być pojęcia o tem, co jest zdradą, a co dochowaniem wierności i uczciwości aż do końca Według naszego zdania zarzut zdrady należy się w całej pełni przeciwnej stronie. Jest to fakt tak naoczny, iż potwierdzili go w „Gazecie Opolskiej'' różni księża Polacy dobitnemi słowy, podpisując się po części całem nazwiskiem...

Zmuszono nas, abyśmy się jak najspieszniej udali pod wyłączne kierownictwo „Polskiego Komitetu Wyborczego''; przecież musimy się poddać władzy i przewodnictwu, gdzie zasady są czyste, bo katolickie i polskie; trudno od nas żądać, abyśmy nadal trwali przy sztandarze, który zbryzgano, podarto i podeptano; pod kierunkiem niemieckiego konserwatywno-liberalno-centrowego „miszmaszu'' być przecież nie możemy. To by było naprawdę zdradą i to zdradą ludu polskiego!''

Podobnie jak na Ślązku występowali centrowcy w Prusach Zachodnich. Na Kaszubach połączyli się z lutrami przeciw Polakom ks. prob. Łosińskiemu i prof. Schroederowi.

Z okazyi wyborów katolicka *„Westpreuss. Volksbl.''*, organ księży niemieckich, popierany przez biskupa pelplińskiego, taką zamieszcza korespondencyą:

„Polchowo w powiecie puckim. W tutejszym 4 okręgu prawyborczym, składającym się z miejscowości Polchowa, Rekowa, gminy i dworu Brzezin, jako też gminy Osłanina, wybrano tylko w I klasie kandydata kompromisowego (Katolików niemieckich i lutrów konserwatystów. — Red.), podczas kiedy w drugiej klasie dwóch, a w trzeciej jeden Polak wybrani zostali. Na sto uprawnionych 60 było na wyborach. Niespodziewany wynik wyborów wskazuje wyraźnie, jak olbrzymio wzmaga się polskość także w naszym, zresztą więcej niemieckim zakątku. Dobre rady jedynej naszej gazety centrowej „Westpr. Volksblattu'' idą poprostu na wiatr, dopóki niezliczonym gazetom polskim *wolno fanatyzować masy.''*

Jeszcze się nie uspokoiły umysły z powodu ustępstwa naszej władzy duchownej w sprawie kleryków, którzy zmuszeni zostali do uczęszczania na wykłady germanizacyjnej akademii, a już znowu o nowem podobnem ustępstwie słychać. Gnieźnieńskiemu *„Lechowi''* nadesłano następujące dokumenta:

„Curia Archiepiscopalis
Gnesnensis et Posnaniensis.
Posen, den 21. October 1903.
An den Erzbischof von Gnesen und Posen Herrn dr. von Stablewski Erzbischöflich Gnaden
No. 9028/03. A. hier.

. . . .

Da es für jeden gut gläubigen Christen Bedürfnis sein muss hin und wieder im Jahre eine Predigt in seiner Muttersprache zu hören, ersuche ich Eure Erzbeschöfliche Gnaden ganz ergebenst anzuordnen, dass für die deutschen Katholiken der in der Nachweisung aufgeführten Parochien wenigstens vierteljährlich einmal und ausserdem an den hohen Festtagen je ein Gottesdienst in deutscher Sprache abgehalten werde.

p. p.
Der Ober-Präsident
(podp.) von Waldow.''

„Wielebnemu JKs. Proboszczowi udzielam odpis powyższego ustępu z pisma Naczelnego Prezesa z dnia 21 października rb. z uprzejmem wezwaniem, aby sprawdził przytoczone liczby polskiej.... i niemieckiej.... ludności, i aby się oświadczył, ile kazań niemieckich uważa za pożądane. — Odnośnego srpawozdania oczekiwać będę w ciągu czterech tygodni.

Poznań, dnia 16 listopada 1903.
Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański, w z. X. Biskup Likowski.
Wielebny JKs. Proboszcz
N. N. w N.''

Są to dokumenta pierwszorzędnej dla nas wagi, świadczące o uległości władzy duchownej. Ta sama władza, która w *„Kuryerze Poznańskim''* tak energicznie wypraszała sobie wszelkie mięszanie się w jej sprawy czynników świeckich, ta sama władza duchowna stosuje się w niewolniczy wprost sposób do rozkazu naczelnego prezesa. Nie dziwilibyśmy się temu, gdyby rzeczywiście w obu dyecezyach Niemcy katolicy skarżyć się mogli na brak kazań niemieckich, ale nawet jest ich za wiele, o czem władza sama najlepiej wie.

Dokąd dojdziemy — pytamy się — jeżeli tak dalej pójdzie? Czy już na wyspie tumskiej zupełnie zaginęła tradycya kardynała Ledóchowskiego?

Jakże inaczej umiał wystąpić wobec rządu ks. biskup Korum z Trewiru. Miał poważne zatargi z rządem pruskim z powodu parytetycznego (bez różnicy wyznania) seminaryum dla nauczycielek. Biskup zagroził karami kościelnemi tym rodzicom katolickim, którzy posyłać będą swoje dzieci na wykłady nauczycieli protestanckich. O zajściach tych swego czasu obszernie donosiliśmy. Przeciwko stanowczemu obrońcy Kościoła Katolickiego wytoczono najcięższe działa. Wytoczono interpelacyą w sejmie, posłano skargi do Rzymu itp.

Ks. Biskup nie mógł oczywiście podołać wszystkiemu i pozornie cofnął się odwołując swój list pasterski wydany w tej sprawie, lecz po cichu pracował usilnie dalej i obecnie postawił na swojem. W ostatnich bowiem dniach donosiły pisma niemieckie, że seminaryum parytetyczne, o które walka się toczyła, zamienione zostanie na katolickie i to już 4-go kwietnia 1904 roku, w którym to dniu zakład obchodzi 25-letnią rocznicę swego założenia. Nawet gdyby wiadomość ta była przedwczesną, jak twierdzą pisma protestancko-żydowskie, to jednak ks. Biskup Korum osięgnął w swej walce ze rządem poważne korzyści, bo już od dawna usunięto z owego seminaryum nauczycieli protestantów i najważniejsze przedmioty wykładają już nauczyciele katolicy lub księża.

A nasza władza duchowna? Nie zaprotestowała nawet, kiedy tysiące dzieci polskich pozbawił rząd wykładu religii w języku ojczystym. Niech się więc nikt nie dziwi, że w społeczeństwie naszem coraz większa powstaje nieufność do politykującej władzy duchownej, a nieufność ta wzmaga się z dniem każdym, z każdym nowym objawem uległości wobec żądań protestanckiego rządu.

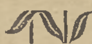
„Posener Tageblatt,'' organ tutejszych władz, uwziął się znowu na polską mowę na zebraniach. Krytykuje przedewszystkiem wyrok najwyższego trybunału administracyjnego, który rozstrzygnął, że na zebraniach publicznych wolno mówić każdym językiem, niezależnie od tego czy dozorujący urzędnik język ten rozumie lub nie. Trybunał administracyjny nie poszedł więc za wskazówką głośnego profeso-

ra prawa Zorna, który w dziele swem wywodzi, że na zebraniach na których się omawia sprawy publiczne, li tylko język niemiecki dozwolony być winien.

„Pos. Tageblatt" wywodzi, że ze względu na jednolity(?) narodowy charakter Prus z wyjątkiem języka niemieckiego żaden inny na zebraniach nie powinien być dozwolony. Wyraża nadzieję, że minister dla spraw wewnętrznych w myśl przyrzeczenia przedłoży sejmowi nowelę do takiego prawa. Tym sposobem pokaże się Polakom, że Niemcy nie myślą im ustępować, gdyż każde ustępstwo ze strony niemieckiej wychodzi na korzyść propagandy polskiej.

Na to są hakatyści, żeby kuli projekta antypolskie, a naszem staraniem być winno, żeby te projekta urzeczywistnione, jak najmniejszą przyniosły nam szkodę.

Redakcya.



Głosy od Przyjaciół.

Przement, 18. 11. 03.

Kochana „Praco!"

Jestem abonentem Twoim od początku Twego założenia, kocham Cię najserdeczniej i życzę Ci, ażeby „Pracy" w żadnym polskim domu nie zabrakło! Żal mi serce ściska, iż u nas w Przemencie w naszem Towarzystwie zrobili nagankę na „Pracę," zapewne dlatego, że prawdę każdemu powie i że jest szczerze polskiem i na wskroś patryotycznem pismem.

Naganka ta na niektórych tchórzów poskutkowała, chociaż i „tchórze" ze swemi przekonaniami są za „Pracą." U nas germanizacya postępuje także dzięki naszym. I tak n. p. kupiec pewien rozdaje dzieciom przy zakupnie towarów obrazki z niemieckiemi wierszykami, nawet i książeczki z portretem Bismarcka i jego życiorysem. Sołtys wysyłając gminną „klapkę" (tak tu zowią obwieszczenie sołeckie) też po trochu pokazuje swą germanizacyą, bo zamiast szkarlatyna pisze szarlak i t. p. Niektórzy rzemieślnicy chcą znowu uchodzić za *„echt deutsch,"* gdyż noszą nakrycia na głowach w kolorach *„schwarz - weiss."* Przedewszystkiem boli nas to, że i ugodowcy się tu znaleźli; ci panowie pragnęliby może, aby się spełniło to co przed kilkoma laty powiedział znany ks. Kszesiński:

„Niemcami zostać musimy, bo Polski nie ma i nie będzie!" Naturalnie ks. K. grubo się omylił, bo chociażby w sercach niektórych odstępców duch polski przestał bić, to my nigdy ducha nie stracimy, gdyż prawdziwy Polak nie powinien nigdy tracić nadziei.

Jak żeśmy korzystali z ugodowości najlepszy dowód mamy z wyborów, gdyż blizko połowa wyborców nie poszła głosować, widocznie zrobili to na złość stronie ugodowej, co zaś najgorsze, żeśmy walmana do 2-giej klasy obrali, który w liście nie był wpisany. W drugim okręgu również blizko połowa, jak słyszałem, nie stawiła się na wybory.

Agitacyi i pouczania ludu absolutnie nie było, gdyż dużo wyborców oczekiwało za kartkami, innym mówiono, że głosują tylko ci co podatki wielkie płacą, przeto dowód najlepszy, że na wsi za każdą razą wyborców pouczać trzeba, ale za to polowanie kwitnie, już nie mówię o tych, którzy sobie na to pozwolić mogą, ale tutaj niedługo pastuch za trzodą będzie chodził z fuzyą na ramieniu. W końcu wypada mi nadmienić, że u nas denuncyacye i procesy jak zaraza od wielu lat panują; nie masz tygodnia, żeby nie było terminu na sądzie lub wysłuchów u komisarza obwodowego, a więc nie tak jasno u nas słońce świeci jak niejeden może przypuszcza, który Przement zna.

Gorliwy czytelnik „Pracy."

* * *

Strzałkowo, 15. 11. 03.

Wybory do sejmu pruskiego odbyły się u nas dość pomyślnie, co należy zawdzięczyć sprężystej agitacyi. Prześliśmy w drugiej i trzeciej klasie; w pierwszej ponieśliśmy klęskę. W klasie trzeciej nie stawiło się dużo naszych do wyborów, ale winić ich nie można, ponieważ wina polega na tych panach, którzy mogli zwołać zebranie przedwyborcze, a jednak tego nie uczynili. Tylko pewien pan raczył zwołać kilku obywateli na małą pogadankę przedwyborczą, podczas gdy większość ludu roboczego najmniejszej informacyi o wyborach nie miała.

Nie mało dali się nam żydzi we znaki, gdyż zszeregowali się z Niemcami, aby nas pokonać. Jest to dla tych Polaków nauką i przestrogą, którzy to tak chętnie Mośków i Gottlibów groszem swoim wspierają, a składy polskie omijają. Rodacy! spamiętajmy sobie tych pruskich żydków agitatorów, którzy z polskiego grosza tylko żyją. W końcu ostrzegam, aby w przyszłości karczmarzy i ludzi zależnych na walmanów nie obierać, u nas pomimo przestróg wybrano jednak karczmarza Polaka walmanem w trzeciej klasie. Pan ów za zaufanie, którem go wyborcy obdarzyli, zaproponował wyborcom klasy pierwszej, aby w tejże klasie Niemcom się nie sprzeciwiać, tj. albo się wstrzymać od głosowania albo też głosować na Niemca, ponieważ Polacy nie mieli widoków zwycięstwa w tej klasie. Propozycyę tę odrzucono, poczem ów karczmarz przyparty do muru oddał głos na swego.

Jeden z wyborców.

* * *

Żnin, 19. 11. 03.

Kochana „Praco"!

Towarzystwo prawie każde tworzą członkowie rozmaitego pochodzenia; członkowie mniej uposażeni w wiadomościach i pojęciach, chętnie przyjmują i poddawają się wszelkim naukom i wskazówkom, udzielanym im przez inteligentniejszych. — I tu właśnie harmonia daje dobrą podstawę ku podniesieniu naszego zbolałego, a przez ciągłe i niesłuszne z wrogiej strony intrygi i drażnienia, osłabionego ducha.

Powiadam — prawie... bo tak jest!

Miasto Żnin, liczące przeszło 4200 dusz, jest przeważnie polskie, a gdyby każdy z Polaków abonował i czytywał pilnie „Pracę", byłoby — wyjąwszy wszystkich urzędników — całe polskie, gdyż o własnej sile byśmy się mogli podnieść.

Żnin ma: 1. *Towarzystwo Młodych Przemysłowców,* istniejące już od roku 1859 (lecz często zasypiało, z powodu kiepskiego pożycia obywatelskiego) i 2. *Kółko śpiewu kościelnego św. Cecylii* od roku 1899. W obydwóch stoją na czele jako prezesowie księża i to: w 1-em ks. proboszcz Sikorski z Góry, w 2-iem ks. komendarz Jasiński, członkami są tylko rzemieślnicy.

Jak mogą więc takie Towarzystwa się rozwijać, jeżeli stronią od nich panowie z inteligencyi i inne osoby, choć nie inteligentne, ale za takie uchodzące, to też Żnin jak w alfabecie tak też i w pożyciu towarzyskiem jest ostatnim. Oto przykład jeden z wielu: Na początku r. b. w karnawale urządziło Towarzystwo Młodych Przemysłowców teatr amatorski i odegrało komedyę p. t. „Wicek i Wacek." Amatorzy grali znakomicie, a sala była przepełniona, ale kim? otóż... li tylko średnim stanem. W niedzielę, dnia 8 bm., odegrano powtórnie tę samą komedyę, ale i tym razem nie raczyli przybyć panowie z inteligencyi na przedstawienie. Niestety! ci panowie zaszczycają za to swą obecnością wędrujące cyrki, obdarte i mizerne, oraz wędrujący niemiecki teatr germanizatorski...

Oj Bracie z inteligencyi, popraw się i idź między mieszczan, między lud, bo w ludzie tylko zbawienie nasze!

Wasz przyjaciel.





Alfred Wierusz Kowalski.

Powrót z miasta.

Album „Pracy“.

Drukiem „Pracy“.

Dział illustrowany.





29 listopada 1830 roku.

Wspomnienie historyczne.

Rok 1830 nietylko dla nas jest pamiętnym, bo w tym roku także Francya, Belgia i Grecya chwyciły za oręż, chcąc się uwolnić od ciemięzców. Wolność narodowa była hasłem wszystkich ludzi szlachetnych. Polacy, kochający nadewszystko wolność, postanowili podnieść oręż przeciw Moskalom.

Po upadku Napoleona, monarchowie na zjeździe w r. 1815 w Wiedniu postanowili, aby Księstwo Warszawskie w r. 1807 przez Napoleona utworzone, zamienić na Królestwo Polskie i podarować je Moskalom. Car Aleksander I. koronował się na króla polskiego. Na pozór, chcąc sobie Polaków zaskarbić założył uniwersytet w Warszawie, aby się w nim uczyli Polacy. Na Litwie zaś inne stosunki panowały, gdyż Litwa do Królestwa Polskiego nie należała, w Wilnie gubernator carski Nowosilców prześladował młodzież szkolną, a namiestnik carski W. Ks. Konstanty, despota gwałtowny, tak dokuczał żołnierzom polskim, że ci w rozpaczy życie sobie odbierali.

Wyczerpała się tedy cierpliwość narodu, który widząc jak inne ludy walczą za wolność, postanowił także wydobyć się ze szponów rosyjskich ciemięzców.

W stolicy Królestwa Polskiego w Warszawie, gdzie w pałacu, zwanym Belweder, mieszkał W . Ks. Konstanty, wrzało jak w kotle, lud zaczął głośno szemrać, domagając się wolności i swobody. Istniała w Warszawie szkoła podchorążych, w której młodzież polska kształciła się na oficerów wojska polskiego; otóż 17 młodzieńców z tej szkoły postanowiło napaść na pałac W. Ks. Konstantego i uwięzić go, a tem samem zacząć powstanie.



W dniu 29-go listopada 1830 roku Trzaskowski, Kobylański, Nabielak, Goszczyński, Niemojewski, Rupniewski Roch i Nikodem, Orpiszewski, Jankowski, Nasiorowski, Paszkiewicz, Poniński, Trzciński, Rottermund, Świętosławski, Krosnowski, Xettel i Kosiński w nocy wpadli do Belwederu z okrzykiem „śmierć tyranowi‟ i zaczęli szukać Konstantego, ale W. książę umknął w przebraniu swej żony. Piotr Wysocki i stu sześćdziesięciu podchorążych uderzyło równocześnie na koszary ułanów, a po przebiciu się przez ich szeregi, połączyli się z owymi siedemnastoma i poszli na miasto.

Hasłem do powstania miał być ogień zapalony na Solcu, przedmieściu Warszawy, co gdy późno uczyniono, Moskale wczas powiadomieni, stanęli w szyku bojowym. Po zdobyciu arsenału, t. j. składu broni, oficerowie polscy rozdali 40,000 karabinów ludowi, na którego czele stanął Bronikowski. Więźniów politycznych uwolniono, zapełniając więzienie Moskalami.

Naczelnym wodzem wojska polskiego mianowano Józefa Chłopickiego, do Rządu tymczasowego powołani zostali: Władysław Ostrowski, ks. Adam Czartoryski, Joachim Lelewel, Wincenty Niemojewski i Walenty

Zwierkowski. Rząd tymczasowy, nie mogąc należycie kierować umysłami ludu, oddał najwyższą władzę, nieograniczoną, cywilną i wojskową generałowi Chłopickiemu w dniu 5-go grudnia 1830 roku. Nadzieja, pokładana w generale Chłopickim zawiodła, gdyż ten nie chciał podzielać zapału narodu do walki z wrogiem, lecz ostudzając ten zapał, nietylko nic nie zdziałał, ale zmarnował czas na układach z carem Mikołajem, posłał nawet od siebie posła do cara z przedstawieniem, aby car połączył Litwę, Wołyń i Podole z Królestwem Polskiem, o czem car nawet słyszeć nie chciał; wojska zbierał i do Polski je posyłał. Armia rosyjska składała się ze 150,000 ludzi, gdy tymczasem polska armia, w chwili wybuchu powstania, liczyła 28,000 ludzi.

Naród polski, widząc nieudolność Chłopickiego, przedstawił mu zgubne jego działanie, tenże zgniewany złożył godność dyktatora dnia 23 stycznia 1831 r. Sejm polski w parę dni w Warszawie zebrany, ogłosił usunięcie cara Mikołaja i jego rodziny z tronu polskiego.

Po Chłopickim wybrano naczelnym wodzem Michała Radziwiłła, ten był zacny, ale na wodza nie miał żadnych zdolności.

Armia polska, licząca wówczas 70,000 żołnierzy, oczekiwała w bezczynności, podczas gdy gen. rosyjski Dybicz, dążył z wojskiem liczącem 120 tysięcy Moskali.

Dnia 14 lutego 1831 roku generał Józef Dwernicki mając 2,100 żołnierzy, zadał klęskę Moskalom pod Stoczkiem i zdobył jedenaście armat. Moskale mieli 4,600 jazdy.

Zwycięstwo pod Stoczkiem napełniło otuchą wszystkie serca.

Dnia 25 lutego zaszła pamiętna bitwa pod Grochowem, gdzie przeciw 70 tysiącom Moskali walczyło niespełna 50 tysięcy Polaków. Cały dzień toczyła się ta walka, a szło o zdobycie lasku olszynowego, który Moskale kilka razy zdobywali i stąd znów wyparci zostali. Tu się okrył sławą polski pułk pieszy czwartaków. Chociaż naczelnym wodzem był książę Radziwiłł, to jednak zwycięstwo pod Grochowem przypisać należy Chłopickiemu, który całą bitwą kierował, podczas tego zabito pod nim dwa konie, a granat ranił go ciężko w obie nogi, tak, że musiano go unieść z pola walki, i wskutek tego Polacy nie odnieśli żadnych korzyści z tej walki. Przekonawszy się jednak o nieudolności Radziwiłła, oddano dowództwo generałowi Skrzyneckiemu dnia 28 lutego 1831 roku, który chociaż posiadał zaufanie u Polaków i choć miał przytomność umysłu i niepospolite zdolności wojskowe, lecz niestety i on zawiódł nadzieje narodu w nim pokładane.

Skrzynecki, jak Chłopicki, pragnął drogą układów zakończyć powstanie i porozumiewał się z feldmarszałkiem Dybiczem, marnując czas, z czego Moskale korzystali i zbliżali się ku Warszawie.

Generał Ignacy Prądzyński nakłonił Skrzyneckiego do wydania bitwy Moskalom, w której Polacy odnieśli zwycięstwa. I tak: dnia 31 marca pod Wawrem, a 1 kwietnia pod Wielkim Dębem. Moskali poległo 11 tysięcy, a do niewoli zabrano ich 5,000, zaś broń, amunicya i kilkanaście armat dostało się Polakom.

Zwyciężono również Moskali pod Iganiami dnia 10. kwietnia. Powstanie rozwijało się w całej Polsce, na Rusi, na Wołyniu. Chłopi na Żmudzi, gdy ich chciano brać w rekruty, woleli iść do powstania, niż do wojska rosyjskiego.

A że na Litwie był zapał niesłychany, dowodem tego, że na czele oddziału stanęła kobieta, Emilia Plater, która wraz ze stryjem swoim, Cezarem Platerem mężnie walczyła pod Przysłowianami, Kownem, Szawłami i Szawlanami.

Generał Dezydery Chłapowski z 2,000 ludzi wspomagał te oddziały, a za waleczność mianował Platerównę pułkownikiem.

Chłapowski dzielnie walczył i byłby zdobył Wilno,, gdyby nie niedołęstwo Giełguda, naczelnego wodza litewskiego, który po zwycięstwie pod Rajgrodem, pod Wilnem został przez Moskali pobity i w dniu 14 lipca 1831 r. przekroczył granicę pruską i broń złożył. To samo uczynić musieli Chłapowski i Platerówna.

Na Wołyniu i Podolu dowodził Różycki, któremu poszedł w pomoc generał Dwernicki z 4,000 żołnierzy i obaj pod Boremlem zadali klęskę Moskalom, ale potem otoczeni przez 20,000 Moskali, przekroczyli granicę austryacką i dnia 27 kwietnia 1831 r. we wsi Klebanówce broń złożyli.

Kiedy armia rosyjska już się połączyła, postanowił Skrzynecki wydać im bitwę pod Ostrołęką, w której 8,000 Polaków padło, a nadto samych oficerów 270, między nimi generałowie Ludwik Kicki i Henryk Kamieński, a generał Krasicki dostał się do niewoli.

Pod Ostrołęką odznaczył się dzielnie generał Józef Bem, który kierując działami polskiemi, siał zniszczenie w szeregach Moskali.

Klęska pod Ostrołęką wywołała słuszne rozgoryczenie wojska i narodu przeciw wodzom.

Rosyjski feldmarszałek Dycicz umarł na morową zarazę, a na jego miejsce stanął Jan Paszkienin i ten objąwszy dowództwo nad Moskalami, dążył do Warszawy.

Generał Skrzynecki choć miał sposobność zniszczyć wojsko moskiewskie, nie uczynił tego i pozwolił im zbudować mosty na Wiśle, a gdy nie uderzył na Moskali, tylko robił porządki niepotrzebne w wojsku. Rząd Narodowy zamianował naczelnym wodzem Henryka Dembińskiego, który z pod Wilna przybył do Warszawy, ale i on zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Napierany przez Moskali cofał się ku Warszawie, za nim szli Moskale, chcąc oblegać miasto.

Po Dembińskim objął w Warszawie naczelne dowództwo generał Jan Krukowiecki.

W drugiej połowie sierpnia zaczęto się sposobić do obrony Warszawy. Ściągnięto 50.000 wojska i przygotowano środki obronne.

Otucha taka panowała w sercach mieszkańców Warszawy, że Moskale choć dwa razy większą siłę wojska mieli, nie zdobyliby byli Warszawy.

Generał Hieronim Ramorin z 19.000 żołnierzy wspólnie z korpusem generała Tomasza Łubieńskiego miał polecenie zgromadzić żywność do stolicy. Wysłanie takiej ilości wojska z Warszawy znacznie osłabiło jej siły obronne, to też po dwukrotnym szturmie przypuszczonym do miasta, Krukowiecki poddał ją dnia 8-go września 1831 za co ściągnął na siebie przekleństwo narodu.

Po upadku Warszawy, mianowany Rybiński wodzem, przeszedł dnia 4-go października granicę pruską.

Generałowie nie chcieli się bić, a na trzydziestu siedmiu obecnych na radzie wojennej, siedmiu tylko głosowało za powstaniem a 30 przeciw, wobec tego 60.000 wojska polskiego złożyć musiało broń na granicy austryackiej i pruskiej.

Dnia 7-go października poddała się Moskalom twierdza Modlin a dnia 11-go października Zamość.

Tak powstanie polskie, podjęte w celu wywalczenia niepodległości i wolności narodowej, przez nieudolność wodzów upadło i tyle krwi bohaterskiej się polało, tyle mogił przybyło, a tysiące zapędzono w mroźne śniegi Sybiru; a jednak ci wszyscy, którzy podnieśli oręż na wroga, którzy polegli, czy to na polu bitwy, czy to w mroźnym Sybirze, posiadali w swych sercach miłość Ojczyzny.

Piotr z Krakowa.

Z OJCZYSTYCH STRON.

Werki pod Wilnem.

Urocze i cudne są okolice starego Giedyminowego grodu. Najpiękniejszem jednak miejscem, do którego zawsze z przyjemnością podążają tak stali mieszkańcy Wilna, jak i ptaki wędrowne — to Werki.

Nad brzegiem srebrnej wstęgi Wilii, wznosi się, góra, spowita w płaszcz cudnej zieleni, z której wyłaniają się szczyty pałacyku, w stylu włoskim zbudowanego.

Do tego miana „Werki“ przywiązana jest legenda następująca: Najwyższy kapłan pogański Litwinów, Krewe Krewejte, nie miał prawa drugiej zaślubiać żony; zdarzyło się jednak, że spacerując po lasach Wilno otaczających, spotkał uroczą Litwinkę i pokochał ją gwałtownie.

Dziewczę odpłaciło mu wzajemnością. Wzięli potajemnie ślub i owocem tego związku był syn. W niemałym był kłopocie ojciec, wiedział, że gdy prawda odkrytą zostanie — czeka go najsroższa kara.

Na domiar wszystkiego, panujący podówczas książę przybył na łowy z licznym orszakiem dworzan. Miłość ojcowska nasunęła Krewe Krewejcie myśl szczęśliwą.

Złożył dzieciątko w ustrojoną kwiatami i świecidłami kolebkę i zawiesił ją na wysokiem drzewie na szczycie góry, gdzie dziś stoją gmachy Werkowskie, a wówczas przebywały żubry i tury. Pewnym był, że książę najprzód do tego miejsca podąży.

I rzeczywiście wkrótce zabrzmiały rogi, dzielny kunigas (książę) z oszczepem w jednej ręce, a grotami w drugiej, darł się przez gąszcze na czele swego orszaku. Nie znalazł turów i żubrów, spłoszył je przemyślny Krewe Krewejte, i zamiast ryku zwierząt, usłyszał kwilenie dziecięcia.

Zdumiony książę spostrzega na drzewie coś błyszczącego; na dany rozkaz, łowcy wdrapują się na drzewo, zdejmują kołyskę i składają ją u stóp księcia.

Widok niemowlęcia wprawia go w osłupienie. Jakim sposobem to dziecię znaleść się mogło w tem dzikiem pustkowiu.

— To widocznie bogowie daja mi jakieś zlecenie! — woła książę — przywiedźże Krewe Krewejtę, niech mi wolę bogów objawi!



Pałac w Werkach. Według albumu Napoleona Ordy.

Staje Krewe Krewejte przed obliczem księcia i po namyśle i tajemnem znoszeniu się z bogami woła:

„Książę, tyś ulubiony od bogów, przez ciebie Litwa uszczęśliwioną zostanie. To dziecię zsylają ci bogowie na mego następcę, gdy ten świat opuszczę. Wychowaj je starannie, a będzie ono twoim i Litwy u bogów pośrednikiem.“

Uradowany książę powierza dziecko Krewe Krewejcie, na pamiątkę zaś płaczu dziecka i całego wypadku miejsce to nazywa Werki, od wyrazu litewskiego werkt — płacz.

Ten cudownie znaleziony chłopiec, z czasem arcykapłan, był głośnym w dziejach litwy Krewe Krewejtą — imieniem Lizdejko (ojciec Pojaty.)

Przez jakie koleje przechodziło następnie to miejsce, kiedy w niem wytępione zostały żubry i tury (pierwsze, istnieją dotychczas w Białowiejskiej puszczy jedynie a drugie całkiem już zaginione), kiedy się ta okolica zaludniła, z pewnością niewiadomo.

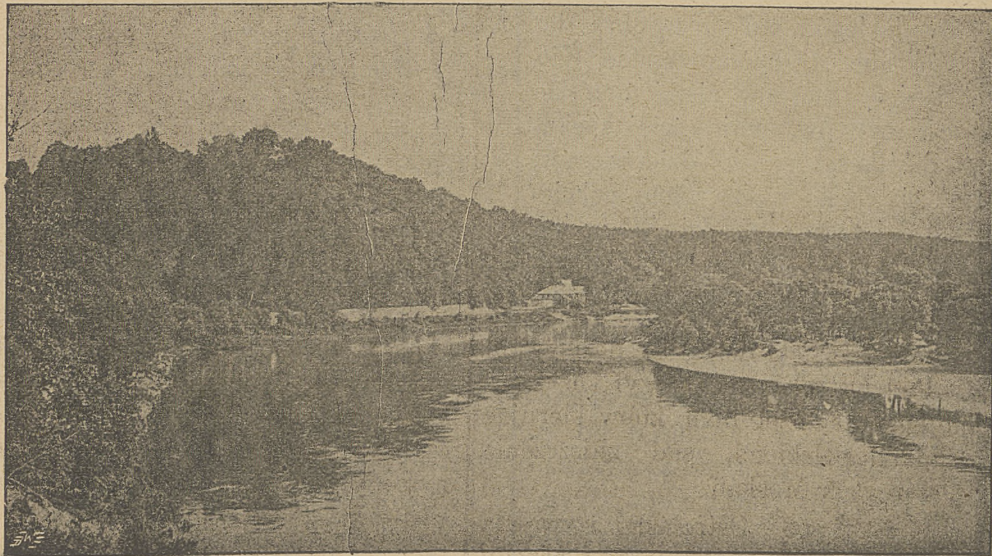
Po przyjęciu chrztu św. przez naród litewski, gdy już gaje i drzewa straciły swą świętość, topory i siekiery trzebiły puszcze, gdzie ukazywać się zaczęły siedziby ludzkie.

Władysław Jagiełło przeznaczył Werki w 1387 r. na mieszkanie biskupów wileńskich. Pamiętne one są bitwą z Krzyżakami Witolda, ze Skirgiełłą w 1390 r.

Walka toczyła się między Werkami, a górą Szeszkinią, od rana aż do południa; przeciwnicy (Witold i Skirgiełło) zachęcali do boju, cała niemal przestrzeń usiana była trupami z obu stron, lecz w końcu Skirgiełło musiał ustąpić i do miasta się schronić.

Pod Werkami też książę Dołhoruki i Chowański 21 paźd. r. 1658 wygrali bitwę i wzięli w niewolę hetmana polnego litewskiego, Wincentego Gosiewskiego. W pałacu biskupim w Werkach, umarł w r. 1569 Wojciech Radziwiłł, biskup, jałmużnikiem zwany, a także w r. 1655 Abraham Wojna, biskup wileński. Władysław IV w r. 1633 i r. 1639 zwiedzał Werki, solennie przyjmowany przez biskupa Wojnę.

Pamiętny jest opis Werek i pobytu

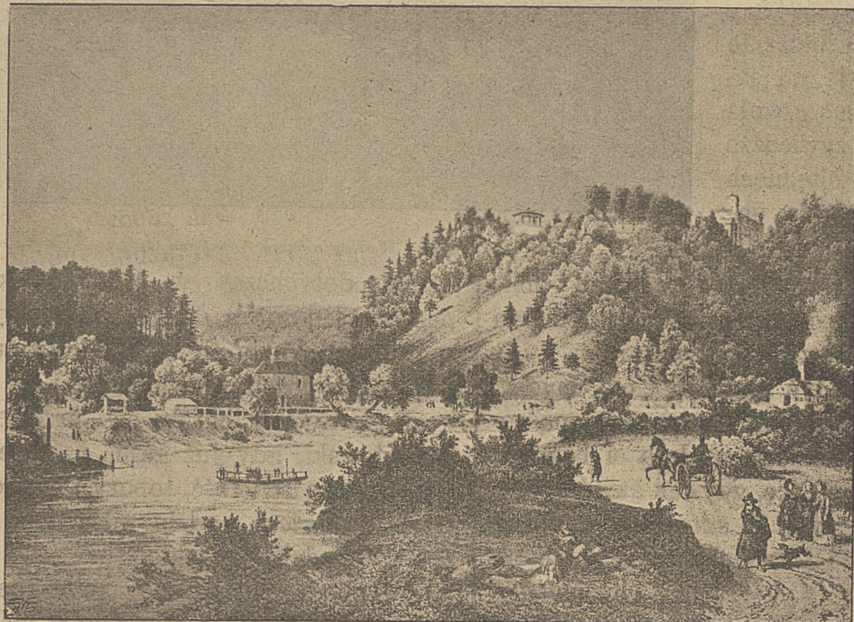


Widok z okolicy Werek.

króla przez znakomitego poetę Sarbiewskiego. Zamek założony tu był w w. XVII przez Konstantego Brzostowskiego, biskupa wileńskiego. W r. 1780 Werki stały się prywatną własnością Ignacego ks. Massalskiego, biskupa wileńskiego, który wzamian oddał kapitule majętność swoją Czerwony Dwór.

Biskup książę Massalski chciał uczynić ordynacyę dla Karola Józefa, księcia de Ligne, za którym była jedna z jego krewnych, i w tym zamiarze wzniósł w 1782 r. wspaniały pałac z kolumnadą i kopułą oraz pawilony, dotąd w części zachowane.

Sprowadził też na górę za pomocą pomp wodę i założył piękne, obszerne ogrody. W gmachu była kaplica, wielkie, okazałe sale, teatr domowy itd. Dotychczas widać na górze ślad wykopanej sadzawki, przed głównym niegdyś pałacem, z którego dziś ani szczątki nie pozostały, a który choć opuszczony, stał



Zamek w Werkach. Widok z przed lat 40. Według albumu Napoleona Ordy.

jeszcze przed czterdziestu laty i na pięknym frontonie w gustownej plastycznej rzeźbie, przedstawiał Cyncynata, parą wołów orzącego rolę.

W r. 1792 umarł książę de Ligne, zostawiwszy jedyną córkę, która wyszła za hr. Potockiego. Tymczasem biskup Massalski ordynacyi nie wyrobił i uległ gwałtownej śmierci w r. 1794 w Warszawie, a dziedziczący po nim Potocki, mieszkaniec Ukrainy i częsty wędrowiec za granicę, nie myśląc nigdy zamieszkać na nieznanej sobie Litwie, wraz z innemi dobrami i Werki puścił w obce ręce.

Następny ich właściciel, Stanisław Jasieński, nie mogąc pałaców utrzymać w całej świetności, dokładał starań, by nie popadły w ruinę.

Nareszcie Ludwik książę Wittgensztejn, prawem nabywcy stał się właścicielem czarownych Werek. Zniósł on główny pałac, na miejscu którego powstał śliczny ogród, ciągnący się aż do brzegów góry, skąd czarujący roztacza się widok na wstęgę Wilii i wieżyc kościoła w Kalwaryi.

Do pałacu po lewej stronie przyłączono piękny zimowy ogród; drugi jego koniec ozdobiono ładną wieżyczką, a wnętrze z artystycznym smakiem urządzono. Było tam kilka pięknych obrazów, a w jadalnej sali, umyślnie na to przybudowanej, umieszczono zbroje i oręż książąt Radziwiłłów, sprowadzone z nieświeżskiego zamku.

Po śmierci ks. Piotra Wittgenszteina (ur. z ks. Radziwiłłówny) Werki przeszły w ręce siostry jego, księżnej Maryi Hohenlohe. Była ona żoną znanego kanclerza Niemiec, utrzymywała Werki nie tak zbytkownie, lecz starannie; spędzała tu wraz z mężem każde lato, polując, pomimo sędziwego wieku, w Naliboskiej puszczy. Jak grom z jasnego nieba spadł ukaz cesarza Aleksandra III, zabraniający dziedziczenie ziemi obcopoddanym.

Ponieważ żadnemu z synów ks. Hohenlohe nie udało się uzyskać poddaństwa rosyjskiego, ogromne dobra Radziwiłłów musiały być sprzedane. Kilkaset tysięcy morgów ziemi przeszło w ręce nabywców, najczęściej spekulantów; kilkaset rodzin dzierżawców, siedzących często w czwartem pokoleniu na dzierżawie Radziwiłłowskiej, musiało szukać chleba gdzieindziej. Ledwie setna część rzeczywistej wartości olbrzymiej fortuny Radziwiłłowskiej dostała się ich sukcesorom.

Reszta została w kieszeni całej gromady likwidatorów, faktorów i t. p. ludzi. Z tego krachu, za specyalnem zezwoleniem cara Werki zostały wyłączone, początkowo, do śmierci ks. Hohenlohe, a następnie zostawione w dożywocie jej mężowi.

Ten ostatni przez dwa lata przyjeżdżał odpocząć w Werkach, nakoniec ulegając namowom, sprzedał tę perłę kraju — panu Czepieleskiemu, gubernatorowi witebskiemu, za milion rubli.

Nowy nabywca, człowiek zamożny, ale nie magnat, musiał dla zaspokojenia zaciągniętych długów, sprzedać lasy. Zwierzyniec, po którym bujały stada sarn, jeleni i danieli, padł pod ciosami toporów i siekier, zwierzęta w barbarzyński sposób zostały zmasakrowane, a gdzie niegdyś wznosiły się olbrzymie sosny — dziś pusto i smutno.

Nie mniejsze zaszły zmiany i w samej rezydencyi; pałac, do którego czasami przyjeżdzają nowi właściciele, chociaż ogołocony z arcydzieł, nieźle jest utrzymany, ale park, ongiś wypieszczony przez naturę i sztukę, smutny w swem zaniedbaniu przedstawia widok. Zabudowania dworskie, niegdyś przez liczną służbę zamieszkałe, zamieniono teraz na tak zwane „dacze,“ letnie mieszkania, bardzo poszukiwane. Nikt już nie pilnuje przepięknych trawników, po których mijają się gromady dzieci, mając uroczystą ciszę pańskiej rezydencyi. Smutno więc, chociaż jeszcze pięknie w uroczych Werkach, czuć jednak coraz bardziej ruinę i zapewne wkrótce, chodząc po zarosłych drogach Werkowskiego parku, nie jeden szepnie:

„Sic transit gloria mundi.“

Emilia Węsławska.



Flisacy.

Płyniemy my Wisłą,
Hej! płyniemy w dal...
Galar się kołysze
Wśród jej sinych fal,
Zdala Kraków stary
Skryty w sinej mgle,
A flisak z piosenką
Dalej, dalej mknie.

Stara Wisło nasza,
Gdzie te czasy, gdzie,
Gdy tu pułk Kościuszki
Poił konie swe?
Kiedy nad twym brzegiem
Śpiew zwycięztwa brzmiał,
I dzielny lud polski
Wroga z kraju gnał?

Szara Wisło nasza
Płyniesz ciągle w dal,
Czy ci za przeszłością
Nie tęskno, nie żal?
Inne dzisiaj czasy
W kraju płyną łzy...

Kraj nasz poszarpany
O! sieroty my!...

Ciężkie życie nasze,
Bo któż szczęście zna?
Komu dola lepsza
Złotą przędzę tka?
Spłynęłaś ty Wisło
Nieraz naszą krwią!
Dzielne twoje syny
Już w mogiłach śpią!

Płyniemy my Wisłą,
Hej! płyniemy w dal...
A w sercu nam tęskno,
Smutno — cicho — żal....
Było szczęście w kraju,
Wszystko zabrał wróg...
Płyń Wisełko cicho
Jest na niebie Bóg!

Jadwiga S.

Nasze illustracye.

Alfred Wierusz Kowalski. — Powrót z miasta. — Illustracya albumoma obrazuje scenę z życia naszego ludu, którą tak wybornie odtworzył nasz rodak.

Alfred Wierusz Kowalski, urodził się 1849-go roku w Suwałkach, ukończył gimnazyum w Kaliszu, malarstwo studyował w Warszawie, Dreźnie i Monachium pod kierunkiem Brandta. Maluje prócz scen z życia ludu także obrazy rodzajowe.

R. Haug. Powrót. Robert Haug, profesor akademii w Monachium (ur. w Stuttgardzie w r. 1857) należy do bardzo wybitnych przedstawicieli współczesnego malarstwa niemieckiego. Ulubionym jego tematem są sceny wojenne. Utwory jego pełne życia i ruchu, znakomicie uwydatniające przestrzeń (plain-air), zdobią galerye: monachijską, drezdeńską i inne. „Powrót" przedstawia scenę, gdy żołnierze z kampanii w r. 1813 wracają po długim, forsownym marszu i zdala witają Ren, zwiastuna ojczystych swych okolic.

—ski.

Plany Chamberlaina.

Wśród spraw bieżących, jakiemi świat cały obecnie się zajmuje, najważniejszą jest reforma, podjęta w Anglii przez Chamberlaina. Z pewnego rodzaju obawą spogląda Europa na przebieg tej sprawy, pojmuje bowiem, jak wielkich niebezpieczeństw jest ona zarodkiem. Wszystkie państwa Europy otoczyły się murem taryf celnych, które służą nietylko do regulowania handlu i przemysłu, ale stanowią zarazem niejako środek, zapewniający państwom jednolitość wewnętrzną. Tej właśnie jednolitości głównie pragnie Chamberlain. Jego reforma celna obejmuje nietylko Anglię samą, ale i wszystkie jej kolonie. Do związku celnego, proponowanego przez Chamberlaina, ma należeć Kanada, Australia, znaczna część Afryki, wreszcie Indye azyatyckie. Dotychczas kolonie angielskie luźnemi tylko węzłami spojone są ze swym krajem macierzystym; związek celny utworzy z nich państwo jednolite, tak potężne rozmiarami, jakiego jeszcze nigdy na świecie nie było. W tem właśnie kryje się niebezpieczeństwo dla reszty państw.

Niema obawy, ażeby zcementowane taryfą celną wielkie imperyum Brytańskie chciało wybierać się orężnie na podbój reszty świata; byłoby to zresztą zbyteczne; olbrzymie imperyum, mając do rozporządzenia taryfy celne, zawładnie handlem i przemysłem reszty świata, wszystkim dyktować będzie warunki w formie traktatów handlowych. Dla Niemiec, Francyi, Włoch, oraz innych państw drobnych, skupionych na małych przestrzeniach, produkujących przeważnie na wywóz, taryfa celna angielska będzie rodzajem łańcucha, krępującego ich swobodę.

Weźmy przykład z Niemiec. W roku 1901-ym wywiozły one produktów swoich do Anglii za 916 milionów marek, z Anglii zaś zapotrzebowały za 657 milionów; poważna różnica między przywozem a wywozem idzie na korzyść Niemiec. Gdy Wielka Brytania odgrodzi się od Niemiec murem celnym, wywóz niemiecki zmniejszy się potężnie. To samo dotyczy innych

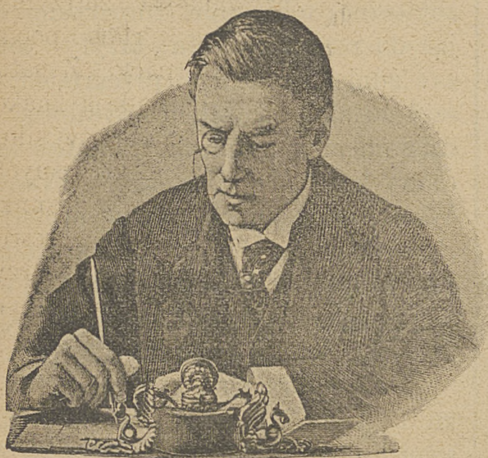


R. Haug.

POWRÓT.

państw, wysyłających swe produkty do Wielkiej Brytanii. Najmniej stosunkowo reforma celna Chamberlaina groźną jest dla Rosyi, ta bowiem wywozi do Anglii przeważnie materyał surowy, ogólne zaś sumy wywozu i przywozu niewielką przedstawiają różnicę.

Tem to właśnie tłómaczy się, iż głównie gazety niemieckie, francuzkie i włoskie występują wrogo przeciw projektom Chamberlaina. I oto znajdujemy się wobec dziwnego widowiska; ci sami, którzy u siebie uważają taryfę celną za zbawienie dla przemysłu miejscowego, krzyczą najgłośniej, że taka sama taryfa celna zgubi Anglię.



Joe Chamberlain

Projekty Chamberlaina spadły tak nagle, tak niespodzianie na resztę Europy, a uderzyły w nią tak silnie, iż dziwić się nawet nie można, że spowodowały tu i owdzie wstrząśnienie... logiki. Ludzie nie mogą, czy też raczej nie chcą zrozumieć, że co dobre jest dla Niemiec lub Francyi, jeszcze lepszem, a przynajmniej również dobrem może być dla Anglii.

Z . . . . o.



Z chwili.

Wrzenie na Bałkanach nie ustaje, a Macedonia przedstawia straszliwy obraz spustoszenia, dokonany przez wojska tureckie. Wielu powstańców poległo, wiele siół i domów spalono i zburzono. W wilajecie monastyrskim i powiecie ochrydzkim spalono 1421 domów, w okolicy Kastoryi i Korycy 384 domy. Zamieszczona illustracya obrazuje smutną chwilę: grzebanie poległych powstańców w Macedonii.

—ski.

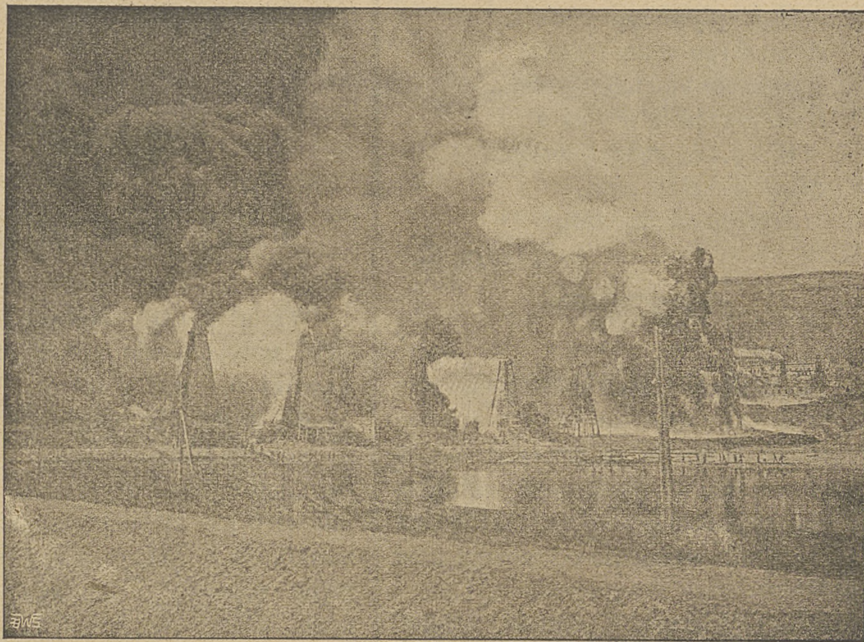




Powstanie w Macedonii. Grzebanie poległych powstańców.

Olbrzymi pożar
kopalni nafty.

Dnia 23-go września r. b. w nocy około godziny 11-ej w miejscowości zwanej Bibi-ejbat, 5 wiorst od Baku, na terytoryum kopalni „Bakińskiego" tow. ros. nafty" w wieży Nr. 11, od iskry skrzesanej zderzeniem się dwóch żelaz wybuchł pożar. Ognista rzeka płonącej nafty w jednej chwili strawiła



Pożar kopalni nafty w Baku dnia 23 30 września r. b.

wieżę Nr. 11 i rozlała się po całej kopalni rzeczonego towarz., trawiąc 5 innych wież, przerzucając się na olbrzymie składy nafcianej ropy. W jednej chwili ognista lawina zerwała groble i rozpłynęła się po terytoryum Bibi-ejbatu, na którem rozsiadły się kopalnie kilkunastu towarzystw nafcianych z ogólną liczbą około 500 wież wiertniczych. Zapłonęły domy miejscowej robotniczej ludności, budynki fabryczne, rezerwoary żelazne pełne nafty pękały z piekielnym hukiem, zajęły się olbrzymie zbiorniki przepełnione setkami tysięcy pudów ropy i morze płomieni i dymu spowiło w uścisku ognistym miejscowość całą. A nad tą szaloną promienną tonią na wysokość 20—25 sążni biło w niebo ognistym strumieniem 5 fontann ropy, z których niektóre wyrzucały do 1,000,000 płynu w dobę. Na morzu i w odległem o 5 wiorst mieście jasno było jak w dzień, a stada mew zbudzone światłem, setkami krążyły po niebie, ginąc w płomieniach; tłumy ludzi bezradne stały wobec potęgi rozpasanego żywiołu, a ziemia drżała w posadach od huku i łoskotu.

Stan taki przeciągał się przez 8 dni. Całkowicie oniemal spłonęły kopalnie: Zubałowa, Szybajewa, Kaspijsko-Czarnomors. towarz., Ogulewicza, Bakińskiego tow. i inne; spaliły się wogóle 64 wieże wiertnicze i składy z zawartością do 30 milionów pudów ropy, prócz tego maszyny, budynki itp.; surowego materyału na sumę kilku milionów rb., innych strat obliczyć niepodobna. Starzy mieszkańcy **Baku** nie pomną podobnej klęski.

—ski.



Za chmurami.

Nieraz świt rąbkiem szkarłatu
Obiecuje rzucić światu
Snop promieni hojną dłonią...
A w tem chmurki się wyłonią
I łącząc się w obłok szary
Osłabiają siłę wiary...
W porankowe obietnice,
Zasłaniają słonka lice
I dzień cały sieją mrokiem...
Jako lecą, jako płyną,
Oswajasz się z barwą siną,
Dzień się kończy, zachód blizki
Za chmurami giną błyski
I znaczą się krwawą smugą,
Jako pasmo cierpień długą.

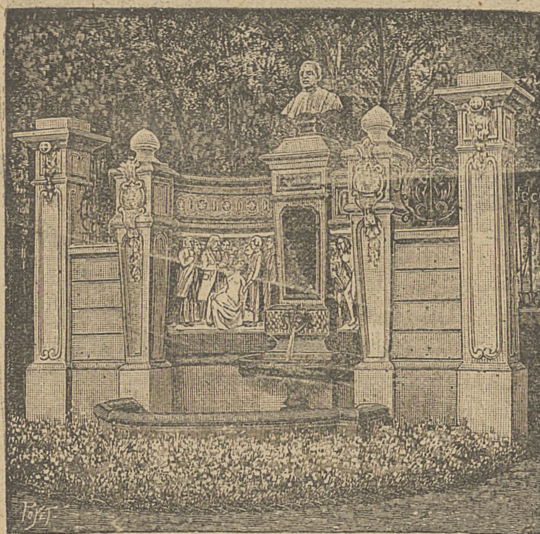
Bol. Sz. Wol.

Odsłonięcie pomnika

prof. Charcota.

W dniu 20 września r. b. w odległości mili francuskiej od Lamaloules-Bains, w Herault, odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika, poświęconego pamięci znakomitego uczonego, lekarza i prawdziwego dobroczyńcy ludzkości, Charcota. Odsłonięcie nastąpiło przy udziale rządu, a brali w niem udział także i liczni przedstawiciele świata naukowego z profesorem Raymondem na czele, następcą Charcota w Salpetriere, który wypowiedział mowę, podnosząc w niej zasługi zmarłego profesora. Pomnik, którego podobiznę podajemy, został zaprojektowany i wykonany przez budowniczego Tassina przy współudziale pani Charcot, znakomitej rzeźbiarki, z pod której dłuta wyszedł biust uczonego i L. Paula, którego dziełem są płaskorzeźby, umieszczone we wnęce po obu stronach wodotrysku. Jeden z nich, widoczny na rysunku, przedstawia jedną ze scen klinicznych: profesor w otoczeniu swych uczniów demonstruje młodą chora. Wogóle pomnik może nie imponuje rozmiarami, w szczegółach jednak jest dobrze pomyślany i wykonany, robi więc wrażenie bardzo sympatyczne.

Z.



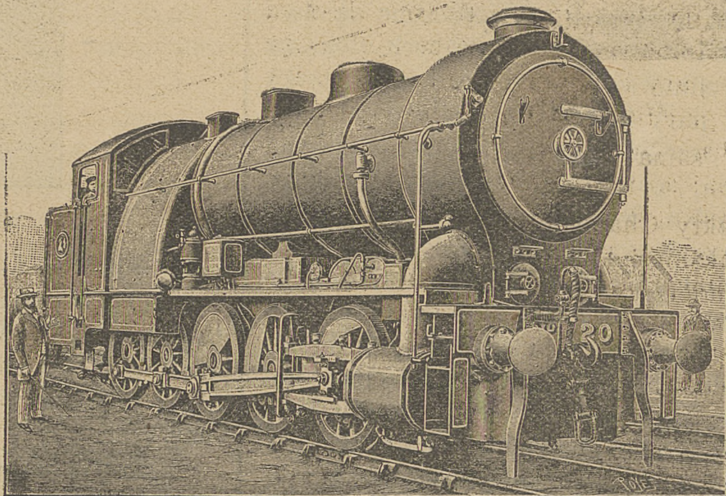
Pomnik Charcota w Herault.

Olbrzymy kolejowe.

Zastosowanie elektryczności, jako siły pociągowej, wzrastający z dniem każdym rozwój linij tramwajów elektrycznych i kolei podjazdowych, podmiejskich, poruszanych elektrycznością z jednej strony, a wzrost ludności i rozwój przemysłu i handlu w okolicach wielkich miast z drugiej, zmusiły zarządy kolei żelaznych, poruszanych parą, do zwrócenia na to uwagi bacznej i uznania elektryczności za godnego współzawodnika.

Na dalekich przestrzeniach, rzecz prosta, koleje żelazne przy użyciu siły pary mogą nie obawiać się jeszcze i przynajmniej w najbliższej przyszłości współzawodnictwa elektryczności, jakkolwiek i w tym kierunku czynią się usiłowania, lecz na małych przestrzeniach, gdzie chodzi o szybką i łatwą komunikacyę pomiędzy ogniskami przemysłowo-wytwórczemi a rynkami zbytu ich wyrobów, za jakie uważać należy wielkie miasta dzisiejsze, współzawodnictwo elektryczności głównie zaciążyło na dochodności kolei żelaznych parowych. Szybkość kolei elektrycznych, częstość pociągów, wreszcie taniość sprzyjały i sprzyjają rozwojowi ruchu nie tylko osobowego, lecz i towarowego, na podjazdowych podmiejskich kolejach elektrycznych. Zresztą pociągi elektryczne mają i tę jeszcze zaletę, że z łatwością dają się zatrzymywać i w ruch wprowadzać, co pozwala na urządzenie i na niewielkiej przestrzeni wielu stacyj i przystanków, a bez widocznej straty na czasie, umożliwiając tem samem korzystanie z dobrodziejstw łatwej i taniej komunikacyi.

Współzawodnictwo i czynniki w grę wchodzące były pobudką dla wielkich towarzystw kolejowych Zachodu do przedsięwzięcia odpowiednich usiłowań w celu zwiększenia nietylko szybkości swoich pociągów, przy możliwie największem ich obciążaniu ładunkiem: pasażerami i towarami, lecz, co najważniejsza, pobudliwości parowozów, polegającej na tem, ażeby w możliwie krótkim okresie czasu osiągnąć największą w granicach możliwości szybkość pociągów. Największym szkopułem do zwalczenia była strata czasu, zużywana na zatrzymywanie i wprowadzanie w ruch pociągów, poruszanych siłą pary. Z natury rzeczy parowozy posiadają znakomicie większą wagę od powozów silnicowych (motorowych) elektrycznych, a wzrost wagi znajduje się w stosunku prostym do szybkości, z którą parowóz osiągnąć może. Okres czasu zatrzymywania i wprowadzania w ruch pociągów, poruszanych siłą pary, zamykał się dotąd w granicach nawet pięciominutowych, co przy częstości stacyj i przystanków na kolejach podjazdowych i podmiejskich, pozwoliłoby na skuteczne współzawodnictwo ze strony pociągów poruszanych siłą elektryczności, dając tej ostatniej jawną przewagę nad parą.



Lokomotywa na kolei „Great Eastern.“

Towarzystwo angielskie „Great Eastern“ postanowiło wystąpić do walki z elektrycznością i w tym celu sprawę wypracowania odpowiedniego typu parowozów o wzmożonej pobudliwości powierzyło swemu naczelnemu inżynierowi M. Holdenowi, który też wywiązał się z zadania w zupełności. Parowozy tego typu, z których jeden został w ostatnich czasach uruchomiony, są przeznaczone do pociągów, mogących unieść 315 ton (około 18,000 pudów) i 1 200 pasażerów. Siła więc

pociągowa tych olbrzymów kolejowych jest wprost zdumiewająca. Nie mniej zdumiewającą jest ich pobudliwość, albowiem w przeciągu wyraźnie trzydziestu sekund mogą osiągnąć szybkość 48 kilometrów na godzinę. Przeznaczono je wszystkie do pociągów na linii podmiejskiej „Liverpool Street — Enfield", której długość wynosi zaledwie 17 kilometrów (około 16 wiorst) Rozmieszczono na niej 17 przystanków w odstępach 950 metrów każdy, a więc tak, jak to zwykle praktykuje się na kolejach elektrycznych.

W parowozach M. Holdena uderza nietyle może ich ogrom, są one bowiem niewiele większe od parowozów pociągów kuryerskich i ekspresów na kolei wiedeńskiej, ile szczegóły budowy dla zwykłego widza niezupełnie uchwytne. Parowozy są osadzone na pięciu osiach, rozmieszczonych w jednakowych od siebie odstępach (patrz załączony rys.), a spoczywających na kołach o średnicy 1,372 metra. Oryginalność pomysłu, decydująca o odrębności typu i jego zaletach, stanowi sposób wprowadzania w ruch kół i samego parowozu. Z boku parowozu, w zwykłych miejscach umieszczone są dwa cylindry zewnętrzne, których tłoki za pośrednictwem korb poruszają tylko trzy pary kół tylnych, gdy dwie pary kół przednich są poruszane oddzielną korbą, połączoną z tłokiem trzeciego cylindra, wewnętrznego, umieszczonego pomiędzy pierwszemi, a więc dla patrzącego niewidocznego. Kocioł o średnicy 1,60 metra posiada 395 rur płomiennych, długich na 4,85 metra każda. Na skutek nadzwyczajnej długości jego osi podłużnej, komin jest prawie niewidoczny i cokolwiek zaledwie wystaje ponad zewnętrzną powierzchnię. Powierzchnia ogrzewalna mierzy 280 metrów kwadratowych, a powierzchnia rusztu 3,90 metra kwadratowego; waga tego ostatniego wynosi około 14 kilogramów. Po bokach przed pierwszą parą kół znajdują się wyloty piasecznic, z których piasek w razie potrzeby pod ciśnieniem sypie się na szyny pod koła w celu zwiększenia tarcia, co ma zapobiedz ślizganiu się kół podczas gołoledzi. Zresztą urządzenie podobne nie jest bynajmniej nowością. Rysunek załączony daje pojęcie wystarczające o olbrzymie kolejowym, przy którym człowiek niknie, jakkolwiek jest płodem jego umysłu, posłusznem jego woli narzędziem. *B. G.*

Jaszczurki amerykańskie.

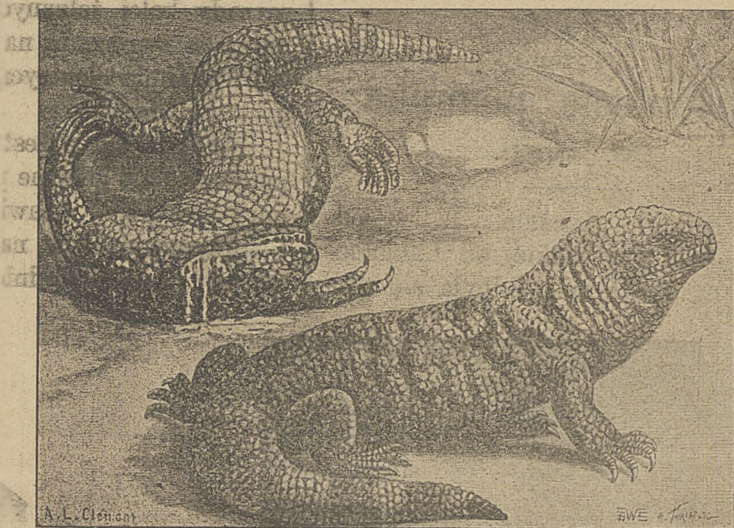
Zdawać-by się mogło, że nieustające poszukiwania uczonych badaczy wyczerpią wreszcie cały materyał fauny i flory przynajmniej lądowej; przeczą temu ciągłe odkrycia nowych gatunków i form nieznanych, często osobliwych, a pozwalających na uzupełnienie luk w systematyce roślin i zwierząt. Niektóre z tych odkryć, rzucają nowe światło na powstanie i przejawy życia organicznego i roślinnego na naszej planecie, wzbogacając naszą wiedzę przyrodniczą. Przyroda, to niewyczerpana skarbnica, z której czerpać można... — bez końca!

Czasem jedno na pozór nic nie znaczące odkrycie naprowadza nas na szereg innych, mających doniosłość dla nas samych, dla ludzkości, lecz może to mieć miejsce tylko wtedy, gdy zadania nasze są ścisłe, a poszukiwania systematyczne.

Przywykliśmy naprzykład pod mianem jaszczurki rozumieć zwierzątka kręgowe, nie wielkie rozmiarami, nie przeszkadza to nam jednakże twierdzić na podstawie ścisłych badań paleontologicznych, że ich protoplaści z jednej z epok przeobrażania się naszej planety, ziemi, byli olbrzymami a w szczegółach różnili się bardzo od dzisiejszych. Lecz dzięki niesprzyjającym warunkom, owe olbrzymie jaszczurki, potworne rozmiarami, wyginęły, a z ich pobratymców zostały tylko te, które, przystosowawszy się do warunków, przetrwały do naszych czasów.

Jednakże i dziś nawet odkrywamy gatunki, nie tyle może należące do form przejściowych ,ile odrzynające się swemi cechami od gatunków nam współczesnych. Do rzędu takich należy gatunek, zaliczony do jaszczurkowców, a bytujący w strefie gorącej Ameryki od zachodniego stoku Kordylierów do brzegu oceanu Spokojnego. O nim tygodnik francuski „La Nature" podaje następujące szczegóły: — Niektórzy przedstawiciele tego gatunku dosięgają rzadkiej długości, mierzą bowiem około metra. Są oni pokryci zupełnie właściwą jaszczurkom łuską (brodawki o zgrubiałej i spłaszczonej powierzchni), układającą się w desenie czarne na grzbiecie i pasy na ogonie. Wyraźnego rozgraniczenia pomiędzy głową, tułowiem, a ogonem niema a kończyny są typowe, właściwe jaszczurkom.

Zbadać obyczaje tych zwierząt było niezmiernie trudno, raz dlatego, że prowadzą one życie nieruchliwe, a powtóre, że wzbudzają strach paniczny w krajowcach, na których pomoc wskutek tego liczyć nie można było. Ruch tej jaszczurki jest niezwykle powolny, co da się zresztą usprawiedliwić długością i nadmierną grubością członków a zarazem małą zwrotnością stawów.



Jaszczurka amerykańska. Na lewo zwierzę rozdrażnione.

U osobników starych, a także u samic po zapłodnieniu brzuch przybiera niezwykłe rozmiary, tak, że opiera się o ziemię, utrudniając i tak już powolny ruch tych zwierząt i czyniąc je jeszcze mniej pociągającemi. Lubią przebywać w miejscach suchych, na skraju lasów, w które się nie zapuszczają, gdyż wolą przestrzeń.

Podczas suchej pory roku, od listopada do maja, spotkać je można bardzo rzadko i w mniejszej liczbie, niż w porze deszczowej, w której wykazują większą ruchliwość. Ciało tych olbrzymich jaszczurek wydziela woń silną i mdłą. Gruczoły ślinowe niezwykle rozwinięte u tego zwierzęcia, wydzielają ślinę białawą, lepką, która z paszczy wycieka, a wydarza się to, gdy jest ono czemkolwiek podrażnione.

Zagrożone z zewnątrz w celu samoobrony używa właściwego sobie manewru ,który polega na tem, iż przewraca się na grzbiet (patrz rys. powyżej zamieszczony), wydaje przeciągły gardłowy, lecz silny ryk, poczem następu-

je obfity wylew śliny, jak to można obserwować na załączonym rysunku. Żywi się małemi zwierzątkami i padliną. Krajowcy uważają ukąszenia tej jaszczurki za bardzo niebezpieczne. Badania ściśle w zupełności potwierdziły to mniemanie, znalazłszy w ślinie pierwiastki niezwykle trujące.

Gl.

Tylko przez miłość!

Wielbię Twą mądrość, wiekuisty Boże,
Przed Twą wszechmocą korzę się i kruszę,
Twa sprawiedliwość przeraża mą duszę,
Co od wszechmocy Twej skryć się nie może!

I gdybym tylko z przymioty takimi,
Stwórco i Panie mój, uznawał Ciebie,
O! jakże nędznym byłbym na tej ziemi,
Z jakążbym trwogą myślał o Twem Niebie!

Lecz, straszliwego majestatu Panie!
Sędzio najmędrszy, wszechwiedny i prawy!
Gdy mi Twa miłość przed oczyma stanie,
Wobec wszechmocy Twej nie znam obawy.

Tyś Bóg Miłości, wiem i dość mi na tem;
Grzesznik, proch marny, w niej Ci ufam śmiało,
Dla niej Cię pragnę w świecie i za światem,
Za nią zwę Ojcem, kocham duszą całą.

Bo mi Twa Mądrość za jej tylko sprawą
Rozum oświeca, Wszechmoc Twa mnie wspiera,
Wszechwiedność dobrą wolę mą przeziera,
I sprawiedliwość staje się łaskawą.

O! niechże Panie i w ludzkości łonie,
W której Twe Boskie podobieństwo świeci,
Ogniem najżywszym miłość Twoja płonie!
Bo czemże bez niej będą Twoje dzieci?

Gdy blask jej czysty w ich się duszach zaćmi,
Przebiegły rozum zła wola opęta,
Ci, co być mają między sobą braćmi,
Czyż się nie zmienią w drapieżne zwierzęta?

Odpuść mi Panie, jeśli się zuchwale
Myśl moja w błędne manowce zacieka!
Lecz bez Miłości jak pojmę człowieka,
Gdy bez niej Ciebie nie pojąłbym wcale?

Adam Pług.
(Antoni Pietkiewicz).

Wspomnienia
z niewoli moskiewskiej
r. 1863-go.

(Ciąg dalszy.)

Krew uderzyła mi do głowy na te słowa sierzanta. Byłem pewny, że przyszedł po mnie, tymczasem obawa moja nie ziściła się; natomiast aż nadto widocznem było, że kolegi naszego nie zobaczymy więcej. Chcąc mieć pewność pod tym względem, spytałem się podoficera, co się stanie z panem Monseu. Z początku nie chciał nam nic odpowiedzieć, ale gdyśmy bardzo nalegali, machnął ręką i rzekł:

— Biedę narobiliście sobie panowie! Pójdzie!

— Kiedy?

— Jutro rano! i ze łzą w oku wyszedł, zabierając z sobą rzeczy Monsego.

Siadłem znów na okno, trapiony myślą o wydartej świeżo z pomiędzy nas ofierze i obawą o własne życie. Komisya wojenna o tej późnej porze była jeszcze w kancelarji; z natrętną uwagą patrzałem ku oknom tej ostatniej, z których widać było światło. Nareszcie zagasło, członkowie sądow rozeszli się do domów. Wiedziałem przynajmniej, iż nazajutrz jeszcze żyć będę. Ależ biedny Monseu!

Pierwsza godzina już była wybiła, ubrany rzuciłem się na łóżko, lecz nie mogłem zmrużyć oka. Tysiączne myśli krzyżowały mi się w głowie. Wyobrażałem sobie smutne położenie mojego przyjaciela, zamkniętego w osobnym pokoju, i oczekującego ostatniej chwili życia. Nie wiedziałem, czy i mnie może podobny los nie spotka w bardzo krótkim czasie. Przyszła mi na myśl matka moja, bracia, siostra; dziękowałem Bogu, że ich przynajmniej nie było koło mnie, bo widok więzienia w tak stanowczej chwili miał w sobie coś przejmującego duszę rozpaczą i żalem przechodzącym siły ludzkie.

Powstawaliśmy nakoniec smutni i małomowni jak nigdy. Ksiądz siedzący wraz z nami, napominał nas do wytrwania i otuchy, cytował nam ustępy z biblji o cierpieniach Zbawiciela świata, czytał w głos modlitwy z książki do nabożeństwa. Słowa zacnego kapłana podniosły nas na duchu, i choć nam nie było weselej, ale czuliśmy się pokrzepionymi i przygotowanymi na wszystko, czemkolwiekby się Bogu podobało nas nawiedzić.

Około 11-tej godziny nadciągnął silny oddział piechoty moskiewskiej, i przy biciu bębnów ustawił się przed więzieniem. Wyprowadzono Monsego, na którego twarzy widać było chyba to tylko, że spędził noc bezsenną. Przytomność umysłu i męzka odwaga nie odstąpiły go na chwilę. Wojsko otoczyło go, i ścigane przekleństwami i płaczem zgromadzonego ludu, ruszyło z nim ku barakom, koło których odbywały się w Radomiu krwawe egzekucje. Przybywszy na plac stracenia, Moskale sformowali czworobok, z jednej strony otwarty, odgradzając tym sposobem więźnia od publiczności. Przywiązano go do słupa, poczem dowódzca eskorty odczytał mu wyrok i kazał zawiązać oczy, mimo wszelkich próśb by tego nie czynił. Dziewięciu żołnierzy wystąpiło naprzód; w tej samej chwili zagrzmiała muzyka wojskowa, zahuczały bębny i dziewięć strzałów padło....

Lud stojący z daleka, rzucił się na kolana i głośno modlić się począł, nie za ofiarą, którą nam świeżo wrogi wydzierały, ale o to, aby wszystkie ofiary nasze mogły w końcu przebłagać niebiosa. Odcięto sznur, którym Monseu był przywiązany do pala, i zsunięto go do grobu tuż obok słupa wykopanego. Ztąd jeszcze podniósł rękę do góry, jakgdyby nią groził swoim mordercom... żył jeszcze! Znowu padł strzał, grób zasypano, lud się rozszedł i wojsko przy odgłosie wesołej muzyki wróciło do kwater.

W godzinę po egzekucji wszedł do naszej kaźni oficer dyżurny, oznajmując nam, że Monseu pragnął przed śmiercią widzieć się z Bornemissą i ze mną, a gdy mu tego zabroniono, kazał nas pozdrowić przez niego. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że już nie żyje.

Takich to świąt Wielkanocnych doczekaliśmy się w Radomiu. Smutne one były, smutne nad wszelki wyraz. Pierwszego ich dnia, naczelnik wojenny, jenerał Uszakow, pozwolił paniom Radomskim, aby nam przyniosły święcone. Był to niezły człowiek, ale ulegał wpływowi swego szefa sztabu, pułkownika Dobrowolskiego, Polaka, na którego podłotę i okrócieństwo nie ma w naszym słowniku wyrazu dosyć cechującego.

Kilka pań zajmowało się rozdawaniem święconego, które było ustawione na stołach, zajmujących cały ogromny

kurytarz więzienny. W przytomności dwóch oficerów wypuszczono wszystkich więźniów na ten kurytarz, poczem ksiądz pobłogosławił dary Boże i w okamgnieniu wszystkie stoły zostały opróżnione. Ja nie bardzo uważnie przypatrywałem się tej ceremonii, bo napisałem był list do Kielc, który teraz chciałem ukradkiem wyprawić. Wśród szczęku widelców i nożów i ciągłej krętaniny, powiodło mi się to wybornie.

Panie spostrzegły, że my mieszkańcy „Galicyi" jako arystokracja więzienna, nie chcieliśmy zmniejszać porcje biedniejszych kolegów i z tego powodu nie jedliśmy nic, prócz ceremonialnego kawałeczka jaja. Po południu przysłały nam tedy trzy ogromne kosze różnych wiktuałów, które nam wystarczyły dłużej niż na tydzień.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MAŁY GRÓB.

Z holenderskiego.

Trzy małe dziewczątka i chłopczyk siedziały na stogu świeżo skoszonej trawy. Anusia, córeczka owdowiałego kramarza miała tylko jedną rączkę, z drugiej, uciętej po łokieć zostało martwe ramię.

Szukała gorliwie rozkwitłych kwiatów na łące, zrywała je lewą rączką, a zerwane przytrzymywała martwem ramieniem na piersiach.

— Znalazłam znowu bardzo dużo — mówiła, wracając do towarzyszy.

— Połóż je tutaj na kupę — odrzekła Krystyna najstarsza z towarzystwa, sześcioletnia dziewczynka z długimi jasnymi włosami, w których od dni kilku nosiła grzebień, przedmiot jej dumy, a zazdrości innych dzieci.

W tej chwili bawiła się przesuwaniem tego grzebienia przez gęste zwoje swoich włosów.

Z brudnemi rączkami, z opaloną twarzą, pod słomianym kapeluszem, w grubych drewnianych pantoflach, które wyglądały ciekawie z trawy, pochyliła się nad kupką leżących przed nią kwiatów. Były to same prawie jaskry, żółte jaskry różnej wielkości.

Z uwagą przebierała kwiaty i składała obok siebie obrównując paznogciami łodygi. Tak najlepiej — mówiła — teraz będziemy mieli ładny wianek.

Mała Kasia, młodsza o pół roku, która siedziała obok niej — dziecko z czarnemi oczami i krótką kędzierzawą czupryną — próbowała to robić inaczej. Chude jej palce, obejmowały mocno pęk łodyg i owiązywały je potem zręcznie źdźbłami suchej trawy.

Siedzą ze skrzyżowanemi nóżkami i sięgając od czasu do czasu po kilka kwiatów — pracowały obie, podczas gdy Jan palił papierosa.

Jan był synem handlarza kartoflami, niejakiego Baama. Kolana okryte grubemi pończochami podsunął aż pod brodę i palił. Tak jest, palił papierosa. Na drodze, którą wyszli w pole pan jakiś porzucił niedopałek — prawie połowę dużego papierosa. — Niedopałki wyrzucane przez ojca cmokał malec zawsze — o tak — raz nawet w niedzielę ściągnął staremu całe cygaro. Ale nie chciało się ono jakoś palić. Natomiast papieros porzucony przez nieznajomego pana był bardzo dobry, kurzył się jeszcze teraz znakomicie. Brzydzić się nie ma czego, jeżeli się tylko cygaro dobrze przedtem otarło. O tak! Jan ciągnął dym potężnymi haustami. Ostrożnie trzymał koniuszek cygara między palcami i wydmuchiwał dym zwolna, niczego nie stracić z tej wielkiej przyjemności.

— Nie skończysz na czas — rzekła Kasia do Krystyny po dłuższej chwili milczenia — z tego nie da się uwić wianek.

Krystyna ruszyła szydersko ramionami i patrząc z góry na towarzyszkę mruknęła: „cicho bądź mała!"

— Musicie się spieszyć — mówił Jan, spluwając na ziemię jak człowiek dorosły — o godzinie jedenastej będzie pogrzeb.

— Nieprawda — rzekła Krystyna — bo o dwunastej.

— O dwunastej? — to nie jest prawda!

— Tak! Mój ojciec przecież to mówił...

I rączo chwyciła pęk kwiatów. Anusia biegła przez pole niosąc świeży zapas dopiero co zerwanych jaskrów.

— Przestań! — rozkazała Kasia — już mamy dosyć kwiatów!

— Czy może wam pomódz? — zapytała Anusia, siadając.

— Nie potrzeba! — odparła Krystyna, patrząc trochę pogardliwie na ucięte ramię — ty tego nie potrafisz.

Jan palił papierosa, Krystyna i Kasia wiły wieniec.

Od zielonego, jaskrawie promieniami słońca ozłoconego pola, odbijały ostro czerwone kurtki i białe kapelusze dzieci.

W dali słychać było głos skowronka, a w trawie brzęczały koniki polne.

— No! — rzekł nagle Jan, a głos jego brzmiał w cichem powietrzu donośnie — chciałbym wiedzieć, czy może ona wyjść stamtąd napowrót?

— Niby skąd? — zapytała Krystyna, nie odejmując oczu od roboty.

— No! z trumny...

— Jak może wyjść — głupi chłopcze — kiedy trumna jest gwoździami zabita!

Tak? — odparł puszczając świeży kłąb dymu — chciałbym widzieć, czybym ja stamtąd nie wyszedł gdyby mi się podobało!

Przytem zacisnął usta energicznie — tak, jakby wiedział z pewnością, że tego dokona. Koniec papierosa trzymał w palcach.

— A jeżeli będziesz umarły? — mówiła Kasia — jeżeli będziesz nieżywy — to będziesz umarły — jak jesteś umarły to nie możesz przecie podnieść wieka od trumny.

— Taak? Toby się dopiero pokazało — mówił Jan — zaciągając się dymem głęboko.

— Jeżeli twoją rękę podniosą do góry tak jak rękę Józi i spuszczą ją potem na dół — to ona spadnie i twoja noga także. Felczer ciągnął Józię mocno za język, a ona nie krzyknęła nawet „au!" Tak, jeżeli jesteś umarłym, to nie możesz się poruszyć — ani nawet odrobinę!

A czy leży ona w małej trumnie? — pytała Anusia patrząc przed siebie i jeszcze dobrze nierozumiejąc co się właściwie stało.

Tak — rzekła Krystyna, składając kwiaty — a potem trumnę wrzucą do grobu, tak samo jak wtenczas gdy był pogrzeb pani Visz — i już po wszystkiemu...

Mój wieniec już gotów — zawołała Kasia — podnosząc się z ziemi i strzepując trawę z fartuszka.

Zaczekaj chwilkę, mój także będzie zaraz gotów — mówiła Krystyna — jeszcze jeden kwiatek tylko.

Dzieci patrzyły w milczeniu.

Cień przeszedł przez pole. Mała chmurka zasłoniła słońce na chwilę.

Gdybym wpadł do wody — zaczął Jan znowu i zakaszlał się, gdyż dym zaszedł mu do gardła — to wtedy całkiem po prostu bym pływał...

Musiałbyś najpierw umieć pływać — zauważyła Kasia.

— Ja umiem — zapewniał — trzeba robić ot tak rękami, nogami i płynie się...

— A jeżeli ubranie zmoknie — rzekła Krystyna — i woda wejdzie w spódnicę, wtedy się tonie...

— W takim razie powinnyście nosić spodnie — po co wam tyle szmat dźwigać?

— Jabym miała nosić spodnie! zawołała Kasia — mój Boże! dziewczęta w spodniach!...

— A jabym nie chciał nosić spódnicy — szydził Jan — co bym zrobił z taką szmatą na nogach...

— Tak? — odezwała się Krystyna — w spodnicy przynajmniej ciepło! A ponieważ ty nosisz spodnie — to masz takie obrzydliwe, cieniutkie nogi, jak patyki — pfuj!

Zabrzmiał na polu szyderski śmiech Krystyny i Kasi.

Jan palił i nic nie odpowiadał. Papieros był za mocny dla niego i poczęło mu się trochę robić nie dobrze. Dziewczęta wstały i poczęły biedz przez pole z wieńcami w ręku. Najładniejszy był wieniec Kasi.

Biegły na przełaj przez pola, a potem przez drogę ku cmentarzowi, który był zielonemi drzewami zasłonięty. Na piasku nie słychać było ich drewnianych pantofli, ale od bramy, gdzie się bruk zaczynał już kłapały one głośno, cztery pary dziecinnych drewnianych pantofli, potem ucichły nieco na ścieżce cmentarza, przy której wykopany był mały grób...

Jan, trzymając Anusię za zdrową rączkę biegł za Krystyną i Kasią, które szły naprzód, bojąc się trochę tego mnóstwa nagrobków i krzyżów.

— Ach! przestraszyła się Kasia jakiegoś kota zbłąkanego, który im przebiegł drogę.

— To tutaj! zawołała Krystyna.

Na trawie leżała kupa świeżo wyrzuconej ziemi, a grób dla małego dziecka, głęboki i czarny patrzył na przybyszów. Obok leżały mary i sznur.

— Więc tam pójdzie Józia? — pytała Kasia, patrząc z przestrachem dokoła siebie.

— Tak — objaśniała Krystyna — a na tym sznurze spuszczą trumnę na dół.

— To nie może być! — wołał Jan, który wyrzucił już wprawdzie papierosa, ale jeszcze był trochę odurzony dymem. Jama jest za płytka i tutaj trumna nie stanie przecież!...

— Ależ trumna nie będzie stała, głupcze jeden — rzekła Krystyna zirytowana — położą ją przecież. Ten chłopiec nic nie rozumie! A jak ją położą wtedy zasypią ją ziemią.

— A czy musimy czekać aż oni przyjdą? — pytała Kasia, która miała wielką ochotę uciekać.

— Nie — oni przyjdą dopiero za godzinę — rzekła Krystyna — i ja-bym także nie chciała być przytem. Zawiesimy nasze wianki tutaj na kołku — nieprawdaż?

Małe rączki wepchnęły kawał kija do ziemi wyrzuconej z grobu i ostrożnie przymocowały doń obydwa wianki z żółtych kwiatów.

Teraz chciał jeszcze Jan wiedzieć, jak właściwie głęboki jest grób — ale Krystyna miała już dość tego.

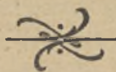
— Jeżeli nas zobaczy ten wysoki grabarz — to gotów krzyczeć na nas.

— No to chodźmy, zostawiliśmy już przecież Józi pamiątkę.

— I drewniane pantofle znowu kłapać poczęły po ceglanym bruku.

Grób, z dwoma wiankami, łagodnie przez wiatr poruszanymi czekał na trupa ich małej przyjaciółki, która przed dwoma dniami się utopiła, a o godzinie dwunastej miała być pogrzebana.

Herman Heijermans.



ON.

Gdziekolwiek się zwróciła, wszędzie szedł za nią.

A była piękną, była wytwornie ubraną i miała zawsze uśmiech na twarzy i oczy jej się śmiały. Była uosobieniem życia i wesela, promienie słońca biły od niej. To też w jej otoczeniu czuli się wszyscy młodzi, jak czują się motyle w otoczeniu kwiatów, a starzy zapominali o troskach i dolegliwościach. Nic więc dziwnego, że wszyscy dobijali się o pierwsze przy niej miejsce. On tylko nie zbliżał się do niej, lecz jak cień towarzyszył jej wszędzie. Na ulicy, w ogrodzie, na wycieczce, na zabawie, w restauracyi, zawsze był przy niej w pewnem oddaleniu. Nie zbliżył się jeszcze do niej ani razu, nie przedstawił się, nie przemówił, ani nawet w oczy nie popatrzał — zawsze sam, zawsze milczący.

Z początku nie zwracała uwagi na niego. „Dziwak“ — pomyślała.

Raz śniło jej się, że wybiegła do lasku sama pobawić się i pobiegać; to kwiatów szukała, to rwała paprocie, to przysłuchiwała się szmerowi liści na drzewach, lub goniła motyle. W tem spostrzegła jego!... Stał oparty o drzewo i wpił w nią oczy, dziwne oczy, widziane po raz pierwszy. Poczęła biedz ku domowi przelękniona, lecz zabłądziła, więc w największej trwodze woła: „Mamo, mamo!“ Obróci się po za siebie: on przy niej i patrzy wciąż jak wąż na swą ofiarę... Mamo, ratuj mię!

Obudziła się... z obrazem jego w swej duszy.

Odtąd nie mogła się nigdy otrząsnąć z tego wrażenia, tembardziej, że on zawsze chodził za nią.

Przestała się prawie śmiać, a kiedy matka zauważyła u niej ten dziwny niepokój, prosiła lekarza zdrojowego o radę, gdyż córka od pewnego czasu zmieniła się zupełnie. Obawia się o nią, aby nie popadła w ciężką chorobę. Lekarz uspokoił matkę, miał przytem dziwnie uśmiechniętą twarz, gdy patrzał na dziewczynę. To wywołało na jej twarzy rumieniec.

Wkrótce, pewnego popołudnia, dziewczyna, zostawiwszy matkę w domu na drzemce poobiedniej, poszła przez park do znajomych.

Po drodze myślała o nieznajomym. Jakoś dziwnie lekko czuła się dzisiaj, zdawało jej się, że już może myśleć o nim spokojnie, bez obawy. Była przytem pewną, że dzisiaj go nie zobaczy, gdyż zapewne poszedł sobie gdzieś w góry. Tak jej było lekko na duszy, że poczęła śpiewać wesołą piosenkę.

— Ah, to pan! — krzyknęła naraz i nie wiedziała w pierwszej chwili, co począć. Zrobiła nawet ruch wstecz, jakby uciec miała do domu — lecz nagle inna myśl wpadła jej do głowy.

A on stał oparty o drzewo i patrzał na nią dumnie, wyniośle, jak pająk na schwytaną w sieci ofiarę. Tak się jej przynajmniej zdawało, lecz popatrzywszy w jego oczy, uczuła, że ją płomienie ogarniają. W głowie powstał szum, drzewa, trawy i kwiaty i wszystko co miała przed sobą, zlało się w jeden mętny obraz, a później ten obraz począł wirować przed jej oczyma, to znów dziwne koła z szaloną szybkością krążyły przed nią i znikały.

Oparła się o stojące przy ścieżce drzewo i zasłoniwszy się parasolką trzymaną w ręce, usiłowała oprzytomnieć. Wtenczas on jednym skokiem zbliżył się do niej, odjął jej ręce od twarzy.

— Pani się mnie boi? — I skłonił się nisko, prawie do kolan. — Pani dzisiaj sama, to bardzo dobrze się wydarzyło, ja czekałem długo na tę chwilę.

— Jak pan śmie do mnie w ten sposób mówić, pan nie postępuje jak inni, nie zbliży się, nie przedstawi, a ciągle mnie prześladuje, ciągle pan chodzi za mną, jak szatan za duszą, pan nie da mi spokoju we dnie i w nocy, ja się pana boję, ja nie chcę pana widzieć, odejdź, nie patrz na mnie.

— Nie odejdę, dopóki...

— Dopóki? — powtórzyła, jak echo.

— Dopóki nie będziesz moją! Czy pani wiesz, że musisz być moją, choćbyś uciekła na koniec świata, ja cię dogonię, choćbyś schroniła się na dno morskie, ja cię odszukam; choćbyś w głębię ziemi się zapadła, ja cię wydobędę; choćbyś w ogromnym przestworze nieba jak pył się rozwiała, nie ujdziesz mi; choćby bronił cię milion ludzi, ja ich wytracę, wytruję, ja miasto spalę, a ciebie z płomieni dobędę i będziesz moją. Świat cały bym w gruzy zburzył dla ciebie, mękibym poniósł,

jakich nikt jeszcze nie wymyślił, a gdybyś umarła, ja bym przeklął wszystko..

— Nie, nie mów pan więcej, ja słuchać pana nie mogę, ja sama, widzisz, żem nie mocna, pozwól mi odejść, wiem, że mnie nie zatrzymasz...

I jak sarna rzuciła się do ucieczki w stronę domu.

Matka spała spokojnie.

Zaszło już słońce, a matka spała....

— Musisz być moją... — brzmiało jej w uszach, dźwięczało jej w drżącem sercu, napełniało ją całą, jak woda wypełnia naczynie po brzegi. — Musisz być moją dziś...

— Co mam czynić mamo? — szeptała. — Chciała się rzucić ku matce, aby ją zbudzić, chciała jej wszystko powiedzieć, uchwycić się matki, schronić się na jej piersiach, lecz on stał przed jej oczyma uporczywie, wpatrywał się w nią palącym jak żar wzrokiem i ciągnął ją ku sobie z nieprzepartą mocą...

Przyłożyła ręce do czoła. Zdawało jej się, że ma zimne czoło. Przesunęła rękę po twarzy.

— Nie, nie pójdę... — i zrobiła ruch, jakby próbowała się bronić, lecz z każdą chwilą wzrastał niepokój. — Przecie tak nie mogę iść... Tam on stoi... Przyjdę i cóż mu powiem? Powiem, żem chciała mu powiedzieć, by przyszedł do mamy, swoje zamiary jej wyznał... Boże, ja nie wiem co zrobić...

„Musisz być moją!“ — słyszy coraz wyraźniej, natarczywiej, groźniej! Obejrzała się na matkę: „Śpi. Już ściemnia się. Jak prędko dzisiaj pada mrok!....“

Pochwyciła szal, okryła się nim i cichutko wyszła z pokoju.

Jakób Hodur.



Wiadomości.

— ***Z powodu trudności technicznych*** zapowiedziany numer, poświęcony trzechsetnej rocznicy urodzin księdza przeora Kordeckiego, odłożyć musieliśmy do jednego z przyszłych numerów.

— ***Szanownym Czytelnikom*** zwracamy uwagę na ogłoszenie *Domu bankowego Drwęski & Langner w Poznaniu,* który poleca pod korzystnemi warunkami na sprzedaż nowo nabyty piękny majątek Brzozowiec tuż pod samem miastem Trzemesznem idylicznie leżący. Brzozowiec niegdyś ulubiona rezydencya króla pruskiego, „starego Fryca“ — była przeszło sto lat w rękach niemieckich a teraz mocą kupna przeszła na własność *Domu bankowego Drwęski & Langner w Poznaniu* i jest dla *rodaka* korzystnie do nabycia.

— ***Ślub.*** Dnia 25-go b. m. pobłogosławiony został w mieście naszem w kościele Bożego Ciała związek małżeński pomiędzy lekarzem praktycznym, p. *Celestynem Rydlewskim,* synem zmarłego w Jarocinie mistrza malarskiego, Franciszka Rydlewskiego, a panną *Maryą Kasiewiczówną,* córką pani Maryi z Rikowskich Kasiewiczowej, wdowy po urzędniku bankowym, ś. p. Ludwiku Kasiewiczu. Młodej parze szczęść Boże!

— ***Półwiekowa*** rocznica pożaru w katedrze poznańskiej przypada na niedzielę, dnia 29-go b. m. W dniu tym przed 50-ciu laty, 1853-go roku, rano o godziuie $3^3/_4$ pokazały się pierwsze znaki ognia na katedrze. Pożar wyrządził nie mało szkody, mianowicie ucierpiały dużo kaplice po prawej stronie katedry, a głównie kaplica królewska. Ogień zniszczył także na nawie kościoła piękne obrazy — fresk na sklepieniu, przedstawiający dwunastu apostołów. Skarb i kości króla Bolesława uratował z poświęceniem własnego życia nasz współobywatel, powszechnie znany i szanowany nauczyciel-emeryt, p. *Ignacy Marcinkowski,* który wówczas jako młodzieniec odsługiwał wojskowość w mieście naszem przy 6-ym pułku 6-ej kompanii i z karabinem w ręku opuścił posterunek, by nieść pierwszą pomoc przy pożarze. Zamiast kary spotkała go nawet nagroda za czyn ten bohaterski.

— **Proces** o nadużycie ambony przeciw rządzcy parafii w Szadłowicach, ks. proboszczowi Paluchowskiemu, toczył się dnia 19-go b. m. przed izbą karną w Inowrocławiu. Ks. proboszcz Paluchowski po 4-godzinnych rozprawach uwolnionym został od winy i kary. Prokurator wniósł o 3 miesiące więzienia.

— **Pan Jan Specht**, przewodniczący długoletni tutejszego Bractwa strzeleckiego, znany i powszechnie szanowany obywatel naszego grodu, złożył urząd i wystąpił zupełnie z Bractwa strzeleckiego. Stało się to z pewnością skutkiem znanych intryg hakatystów.

— **Zwracamy uwagę** na ogłoszenie p. t. „Browar parowy.“ Dla rodaka nastręcza się dobra sposobność nabycia korzystnego interesu. Bliższe szczegóły itd. poda p. J. Fortuński w Gnieźnie.

— **Pan Ludwik Wyrzykowski** otworzył w Szamotułach bióro adwokackie.

— **Pan W. Kopliński** osiedlił się jako weterynarz w Środzie.

— **„Domowa szkółka polska.“** Pod tym tytułem poleca w ogłoszeniu p. Kazimierz Rak, księgarz z Bytomia grę nową na wzór gry loteryjnej dla młodych i starych osób. Stósowna bardzo na podarki gwiazdkowe.

— **Portrety.** W handlu księgarskim i składach materyałów piśmiennych ukazało się wydanie 6-ciu medalionowych portretów: Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, Moniuszki, Sienkiewicza i Paderewskiego. Są to podobizny wykonane na papierze kolorowane, naśladujące portrety na porcelanie i tak utrwalone, iż kurz można zmywać zwilżoną ściereczką. Nizka cena tych portretów, 50 fen., powinna je spopularyzować, w miarę powodzenia bowiem tej próby wydane będą nowe serye podobizn poetów, artystów itp. Główny skład na Niemcy mają pp. Rzepecki i Święcicki w Poznaniu Piekary 7, do których panowie księgarze i właściciele składów galanteryjnych zechcą się zgłaszać w razie zapotrzebowania.

— **Odezwa.** Już tylko kilka tygodni dzieli nas od „Gwiazdki“ i już dziatwa nasza roi i marzy, co im Dzieciątko Jezus w tym roku ofiaruje w darze i pyta się, czy w roku tym znowu ujrzy choinkę jaśniejącą światłem i strojną. Dziatwa domów zamożnych wie, że nadzieje jej się ziszczą, że choinka zajaśnieje i dary pod nią się znajdą, by ucieszyć oczekiwaniem bijące serduszka. Nie tak jednak będzie u dziatwy biednej. Rodzice radziby nieba przychylić dziatwie, więc i na gwiazdkę pragną im sprawić radość, lecz w wielu rodzinach starczy zarobek zaledwo na codzienne utrzymanie i wcale myśleć nie można o wydatku choćby tylko na choinkę. Lecz znajdą się jak dawniej tak i teraz ludzie dobrego serca, którzy spółczując z biedą, podążą z hojnemi datkami, aby umożliwić nam ucieszenie licznej biednej dziatwy choinką i skromnym darem. Niżej podpisani odzywają się imieniem ubogiej dziatwy do ofiarności publicznej, prosząc o przesyłanie pieniężnych darów na ręce redakcyi pism, które chętnie otworzą swe łamy dla tak pięknego celu. Bóg zapłaci tym, którzy maluczkim i biednym podążą z pomocą!

Zarząd Tow. Kolonii Wakacyjnych i Stacyi Sanitarnej „Stella.“

Wawrz. hr. Benzelstjerna-Engestroem, prezes.

Czesław Foerster, wiceprezes.

Walery Łebiński, sekr., W. Garbary 50 I p. B. Ziętkiewicz, skarbnik, Bazar, ul. Nowa. Adamski K. Książę Czartoryski Zdzisław, Sielec. Czorba Jan, Krajewice Dr. Dembiński Tadeusz. Frankiewicz Ludwik. Głębocki Jan, radzca sprawiedliwości. Januchowski Aleksander. Dr. Krysiewicz Bolesław. Dr. Łebiński Władysław. X. prałat Stychel Antoni. Trzeciakowski Stanisław. Hr. Tyszkiewicz, Józef. Winiewicz Józef. Żółtowski Konstanty, Słupy.

— **Baszków.** We wtorek, d. 17-go b. m. pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy p. Karólem Pietrzyńskim, kamelarzem z Krobi, synem budowniczego Andrzeja Pietrzyńskiego i zmarłej żony jego Balbiny z Zamlewskich z Piasków, a panną Stefanią Śliwińską, córką hotelisty ś. p. Michała Śliwińskiego i żony jego Władysławy z Markowskich z Krobi. Aktu ślubnego dokonał ks. proboszcz Śliwiński, stryj panny młodej, który gości z staropolską gościnnością w domu swym przyjmował Telegramów nadeszło przeszło 100. Szczęść Boże młodej parze!

— **Krobia.** Cegielnią parową położoną w Podrzeczu pod Gostyniem nabył drogą kupna od p. L. Tomickiego z Krobi rodak nasz, p. S. Düchting z Poznania. Ponieważ pokład gliny jest bardzo dobry, dlatego zamierza p. Düchting znacznie cegielnią powiększyć. Nowemu nabywcy szczęść Boże!

Zmarli:

† Ś. p. *Marya Kaniewska,* dnia 15-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Zygmunt Donimirski,* dnia 17 go b. m. w Kożuszkach pod Sochaczewem (Król. Polskie.)

† Ś. p. *Gustaw hr. Dąmbski,* dnia 18-go b. m. w 46 roku życia w Kanigowie, gubernii Płockiej.

† Ś. p. *Wanda z Thokarskich Każmierzowa Niegolewska,* dnia 17-go b. m. w Marchwaczu.

† Ś. p. *Bolesław Szermer,* dnia 21-go b. m. w Poznaniu w 52 roku życia.

† Ś. p. *Władysława z Degórskich Trzcińska* dnia 20-go b. m. w Kępnie.

Wiadomości literackie.

— **Gwiazda i Gwiazdor.** Zbiór dramacików, komedyjek, dyalogów i widowisk szopkowych na Gwiazdkę i kolędę. Zebrał J. Chociszewski. Cena z przesyłką 80 fen. — Dziełko to zawiera następujące sztuczki teatralne dla domowych i amatorskich teatrów: 1) **Wilja Bożego Narodzenia** w 3 aktach. Potrzeba do odegrania 7 dorosłych osób i 3 dzieci. Akt I można grać osobno. 2) **Gwiazdka na obczyźnie** (2 żeńskie i 1 męzka rola. 3) **Historya króla Heroda** (6 osób). 4) **Aniołki** (2 role dla dzieci). 5) **Szopka** przez Sewerynę Duchińską (8 osób, tj. 2 żaków, 3 pastuszków i trzej królowie). 6) **Gwiazdka i Gwiazdor.** Jest to dyalog pomiędzy 2-ma osobami, który można zmienić stósownie do okoliczności. 7) **Robaczek świętojański** (2 osoby). 9) **Złoty chleb.** Wesoła i pouczająca komedyjka, którą może odegrać chłopiec i dziewczynka przebrana za anioła. — Oprócz tego znajduje się w tem dziełku 15 wierszy i pieśni kolędowych. Polecamy usilnie to wydawnictwo, które może się niemało przyczyni do uprzyjemnienia świąt Bożego Narodzenia i czasu kolędowego. W dodatku 10 kart pocztowych. Zamawiać pod adresem **J. Chociszewski, Gniezno — Gnesen.**

— **„Biblioteki Warszawskiej“** wychodzącej pod redakcyą Adama hr. Krasińskiego opuścił prasę zeszyt 757 na listopad i zawiera pomiędzy innemi: „Początki Jana Henryka Dąbrowskiego“, pióra Adama Skałkowskiego, „Królewski Uniwersytet Warszawski 1817—1831),“ zarys historyczny napisał dr. Szeliga (dokończenie), „Jacek Malczewski“, szkic napisany przez Kaźmierza Broniewskiego oraz ciąg dalszy powieści Gabryeli Zapolskiej p. t. „A gdy w głąb duszy wnikniemy...“

Od Redakcyi.

Panu Wojciechowi C. w P. per C. — Lepiej nie ogłaszać; to widocznie prosty człowiek, żyjący na obczyźnie, który może ani nie ukończył zwyczajnej szkoły elementarnej, więc jak umiał tak też napisał.

Pani Stanisławie S. w W. — Daj Pani ogłoszenie do „Pracy“, a chętnie Panią polecimy w dziale redakcyjnym.

Panu W. A. w S. — Za słowa uznania najserdeczniej dziękujemy.

Panu K. w Krobi. — Notatkę zamieściliśmy; jeżeli ma być wydrukowaną także w innych gazetach, to poślij ją Pan wprost od siebie, gdyż my się takiem pośrednictwem nie zajmujemy.



Dział kobiecy.



„Kochane kobiety!"

We współczesnem piśmiennictwie płeć piękna ma wielu wrogów. Wrogiem takim jest p. Crosland, Anglik. Ten nienawidzi uczciwie! Dowodem książka, którą wydał niedawno.

„Kochane kobiety!" W samym tytule już tkwi szyderstwo. Książka p. Croslanda budzi wątpliwość, czy przyroda nie żółcią, zamiast krwi, autora obdarzyła. Według jego zdania, świat cywilizowany ugina się pod przewagą kobiety. O ileż mądrzejsi są barbarzyńcy, którzy traktują niewiastę jako niewolnicę!...

Albowiem już dziesięcioletnie dziewczę w oczach p. Croslanda jest zbiornikiem wszystkich wad i grzechów. Przewrotność, okrucieństwo, żarłoczność, mściwość, przebiegłość, brak rozsądku i logiki, bezwstyd — nie wyczerpują wcale litanii. W dwudziestoletniej pannie właściwości te w odpowiednim stopniu rosną i umacniają się. Pan Crosland twierdzi, iż kobieta nie potrafi być lojalną. Nie ma litości dla zwyciężonych. Trzyma zawsze ze zwycięzcami. Bogaci mogą być pewni jej łask.

Zdrowy instynkt mają tylko chłopcy w wieku od 15 do 17 lat. Czują wówczas wstręt do kobiet. Ale ta epoka szybko mija. W kilka lat później młodzieniec klęczy u nóg dziewczęcia i błaga o pocałunek, choć niemal zawsze zaraz po tym pocałunku ideał zamienia się w smoka...

Kobieta pożąda przedewszystkiem pieniędzy. Kto chce mieć pokój w domu, musi starać się o pieniądze. Kto chce widzieć uśmiech na ustach żony, musi starać się o pieniądze. Pieniądze albo piekło!

P. Crosland nie ma litości dla kobiet, żyjących z majątku czy pracy męża. Jeszcze mniej jej posiada dla kobiet, które same zarabiają na życie. Rozdział, który im poświęca, zatytułowany jest: „Trzeci rodzaj." P. Crosland nie chce, aby kobiety pracowały. Naprzód dla tego, że odbierają chleb mężczyznom. Potem, że nic nie umieją porządnie zrobić (?!). I wreszcie — bo nie chce, aby współzawodnictwo kobiet obniżyło zarobki mężczyzn. Zresztą natura nie stworzyła kobiet do pisania na maszynach lub do innych tego rodzaju zajęć. Kiedy mężczyzna może być bardzo szczęśliwym, nie mając żony, kobieta, aby być szczęśliwą, musi mieć męża. Musi mieć dzieci, a tych nie dostarczy jej maszyna do pisania.



Nowości Mody. Ubranie spacerowe młodej panienki według modelu paryskiego.

Ironia pana Croslanda zamienia się w wybuch złości, gdy mówi o poetkach i literatkach. Już jako konsumentki, t. j. jako czytelniczki, kobiety działają fatalnie na piśmiennictwo. Literatura nie ma dla nich innego zadania, jak przedstawiać wzajemny stosunek dwóch płci. Pod ich wpływem sypią się tysiące głupich powieści, w których kobieta jest mięszaniną anioła i szatana, mężczyzna mięszaniną słabej głowy i anioła.

P. Crosland nie tylko pióro chciałby wytrącić z rąk kobiety. Chciałby jej zamknąć także usta. Nie cierpi tych pań, które przemawiają na mityngach, na zebraniach filantropijnych i t. d. P. Crosland jest bez miłosierdzia.

Bo gdybyż kobieta okupywała przynajmniej swoje wady pięknością! Wcale nie. Stara się o to, aby być chudą, bo szczupłe figury są w modzie. Nie ma samodzielności nawet w stroju. Ulega niewolniczo modzie, choćby ta moda była dla niej niekorzystną.

Książka p. Croslanda w pierwszych rozdziałach nieci wesołość. Później dobry humor opuszcza autora. Czyni się bez miary zjadliwym i złym. P. Crosland przestrzega na każdej stronnicy: Kobieta to wróg!



Pierwsza adwokatka

w Holandyi broniła w tych dniach w Hadze 18 letniego kantorzystę, który okradł swego pryncypała; początkowo przyznał się do winy, ale następnie dowodził, że pod groźbą wziął cudzą winę na siebie. Panna dr. van Dorp, 25 letnia bardzo ładna osoba, która skończyła świeżo wydział prawny, podjęła się jego obrony. Sala była przepełniona publicznością, zwłaszcza kobietami, adwokatów przybyło niewielu. Prokurator znalazł się bardzo niewłaściwie: zaczął swe przemówienie od ostrego wystąpienia przeciw ustawie, dopuszczającej kobiety do adwokatury, wówczas gdy tylu mężczyzn, poświęcających się temu zawodowi, nie znajduje w nim chleba. Panna van Dorp okazała więcej taktu: w swojej obronie trzymała się tylko sprawy, przedstawiła ją zwięźle i jasno, nie polemizując wcale z prokuratorem. Sąd odroczył sprawę.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Jak obsadzać nasze drogi.

Dużo w swoim czasie mówiło się i pisało o tak zwanych świętach sadzenia drzew. Powszechnie uważano to za rzecz dobrą i naprawdę święta sadzenia drzew miały cel bardzo szlachetny, bo wzbudzenie w młodem pokoleniu zamiłowania do hodowli drzew, a następnie do wspólnego obsadzania dróg i nieużytków, których nie brak w kraju naszym.

Dziś jednak tu i owdzie daje się widzieć, że z kilkuset posadzonych drzewek w owe święta pozostało po kilkanaście zaledwie.

Taki rezultat nieumiejętnego zużytkowania tego zwyczaju, znanego wszędzie zagranicą, miałem sposobność obserwować w gminie X. Całą robotę wykonano tam niedbale, drzewka same niewiele były warte, bo nakopane gdzieś w lesie, korzenie miały marne, pnie cienkie i krzywe. Sadzenie też urządzono, o ile mi się zdaje, tylko w celu pochwalenia się, że i tutaj się coś robi, więc i pożytku żadnego to nikomu nie przyniosło. Z tak lichych i licho posadzonych drzewek pozostało zaledwie kilkanaście sztuk, bardzo dużo z nich wyschło, a reszta — smutne to — została przez szkodników wyłamana!

Pierwszy błąd w gminie owej popełniono ten, że drzewka sadzono tam nieumiejętnie, a drugi, że wybrano wcale nieodpowiednie do tego celu sztuki.

Za najodpowiedniejsze do sadzenia uważam topole nadwiślańskie, które mają te zalety, że bardzo szybko rosną i łatwe są do rozmnażania. Podaję tu dwa sposoby rozmnażania topoli, które może przydadzą się komuś.

Topole, liczące przynajmniej 10 lat wieku, zrzyna się w miesiącu marcu na jakie pięć łokci ponad ziemią; ranę wygładza się ośnikiem i zalepia gliną z krowieńcem. W ciągu lata na około rany wyrośnie dużo młodych pędów, których nie naruszamy przez ciąg trzech lat. Po upływie tego czasu, obrawszy na szkółkę miejsce dosyć wilgotne, np. na łące, zcinamy owe pędy topoli, również na wiosnę, i wtykamy w ziemię. Przedtem trzeba usunąć z nich boczne i niższe pędy, a zostawić tylko kilka u wierzchołka, bo te będą przydatne na koronę. W szkółce muszą one pozostać dwa lata, gdzie wydadzą masę drobnych korzeni. Po dwóch latach będą to już drzewka silne, doskonale ukorzenione, które następnie wykopujemy i sadzimy na miejsca przeznaczone.

Drugi sposób polega na tem, że świeże gałązki (sadzonki) zcięte z drzewa sadzimy wprost na miejsca stałe. Sposobu tego jednak nie radzę, gdyż — o ile ziemia nie będzie dostatecznie wilgotna — to bardzo trudno się przyjmują. Topole nadwiślańskie w niedługim czasie wyrastają w ogromne drzewa, które później mogą być użyte jako materyał na deski i na opał.

A więc bierzmy się do obsadzania naszych dróg i nieużytków, a z pewnością dobrze na tem wyjdziemy.

A. G.

Z dziedziny wynalazków.

W biurach Brytyjskiego Towarzystwa Westinghouse urządzono wystawę dwóch nowych zastosowań elektryczności, wynalezionych przez pana Piotra Cooper Ilewitt. Pierwszym z tych wynalazków jest lampa elektryczna, której siła światłodajna pochodzi od rozżarzonej pary merkuryuszu. Składa się ona z tuby szklanej bez powietrza, zawierającej małą ilość rtęci metalicznej a ztąd i pary rtęciowej, którą rozżarza prąd elektryczny wprowadzony przy pomocy elektrodów u końców tuby. Skoro lampa funkcyonuje, cała tuba zapełnia się silnem niebieskawem światłem, które promieniując po wierzchu, bardzo jest rozproszone i stąd nie rzuca owych ostrych ciężkich cieniów, jakie są udziałem zwykłych świateł łukowych. Światło lampy p. Ilewitta ma jednak właściwość, która z pewnego punktu widzenia może być uważaną jako strona ujemna. Jest całkowicie pozbawione czerwonych promieni; stąd wynika, że przedmioty pod jego działaniem widziane ulegają znacznej zmianie barw, a kolor czerwony zupełnie staje się niewidoczny. Z drugiej strony, owa nieobecność promieni czerwonych w tej samej mierze jest korzyścią pod pewnym względem.

Doświadczenia fizyologiczne wskazują, że brak światła czerwonego wraz z jego działaniem podniecającem i nużącem, ma dobroczynny uspakajający wpływ na tych, którzy w świetle takiej lampy pracują. W każdym razie dwóch inżynierów rysowników, którzy pracowali w laboratoryum p. Ilewitta w Madison square w New-Yorku, w świetle przez niego zbudowanej lampy na propozycyą zastąpienia jej przez inną zwyczajniejszą, odpowiedzieli odmownie. Tego samego światła ponieważ bogate jest w promienie aktyniczne, użyto z powodzeniem w fotografii. Jest prawdopodobnem, że może oddać usługę w sztucznem pobudzeniu wzrostu roślin, i w leczeniu niektórych chorób skórnych.

Inną korzyścią tej lampy jest jej silne działanie, a co za tem idzie taniość; gdyż przy jednakowem natężeniu światła koszt jej palenia wynosi połowę kosztu światła łukowego a jedną ósmą żarowego.

Drugim wynalazkiem p. Ilewitta jest trwały konwerter, za pomocą którego elektryczny prąd przerywany może być zamieniony w prąd stały w sposób tańszy, skuteczniejszy i oszczędniejszy niż jakimkolwiek innym sposobem.



Ważne dla Spółek polskich.

Nasze banki ludowe, względnie spółki pożyczkowe odbiorą, lub może już odebrały w tych dniach od policyi lub landratów zawezwania do nadesłania sprawozdania, rachunków rocznych za ubiegły rok i uchwał walnego zebrania, odnoszących się do podziału zysków, a zawezwanie to jest umotywowanem § 24, II prawa o podatku dochodowym z dnia 21/6 1891. Właśnie na mocy tegoż prawa są spółki, które czynności swe ograniczają li tylko na obręb członków swych, od podatku dochodowego zwolnione, z tychże zatem powodów nie potrzebują żądanych sprawozdań, rachunków rocznych itd. posyłać, gdyż jeżeli nie podlegają prawu o podatku dochodowym, to też nie są zobowiązane udzielać w tym względzie jakichkolwiek objaśnień.

Warunkom prawnym zadość spółki czynią, jeżeli stósownie do reskryptu ministeryalnego z dnia 1/7 1892 celem opodatkowania ich procederowego, posyłają rejencyi w czasie od 15 do 30 września każdego roku prawem odnośnem przepisane rachunki roczne, składające się z obrotu rocznego, rachunku zysków i strat, bilansu i uchwały walnego zebrania, dotyczącej podziału zysków.

W interesie spółek — które niestety własnego organu nie posiadają — zaleca się ogłoszenie niniejszej wiadomości przez wszystkie czasopisma.



Dodatek Humorystyczny.

Złote serce.

Bardzo malutka była jeszcze,
Kiedy na widok pierwszej muszki
Zgniecionej uderzeniem nóżki,
Wzruszenia nią wstrząsnęły dreszcze.
Uczucie zdradza się w iskierce!
Więc, gdy wylała łzy rzęsiście
Nad losem muszki, oczywiście
Mówili wszyscy: „Złote serce!“

Kanarka miała, cud! „harcera“
I kota także, faworytka,
Którego wada była brzydka:
Śledził, gdy klatkę się otwiera.
I wpadł! i zdusił! — przed oczami!
Rozpacz! rozpędzić chciała sługi.
— „Nie płacz — rzekł ojciec — będzie drugi.“
I tak załatwił się z jej łzami.

Raz, wielki kłopot był z dzieweczką,
Nawet zemdlenia była bliską;
Azor, to stare, wierne psisko
Do krwi się pogryzł z jej koteczką.
I — znów obfite łez wylanie,
Lecz osłodzono gorycz czary:
— „Azor wnet zdechnie, bo już stary,
A kotków jeszcze dość dostanie.“

Wypadek zmartwił raz panienkę:
Śliczna czekała ją przechadzka...
W tem... powóz wjeżdża — koń znienacka
Skoczył — Jan spadł i złamał rękę.
O chwilo gorzko opłakana:
O serce do rozczuleń skore!
Na szczęście, mama rzekła w porę:
— „Nie płacz, zastąpi Paweł — Jana.“

Niechże na czułość nikt nie sarka!...
Przypatrywała się ze łzami,
Co się to działo z kurczętami,
Gdy podrzynała je kucharka.
— „Ta rzeź ma jedną dobrą stronę“ —
Myślała z załzawioną rzęsą —
„Że ponad wszystkich zwierząt mięso
Lepsze kurczątko jest pieczone.“

Płakała gorzko po jej stracie,
Po stracie ukochanej matki,
Zda się — wyleje łez ostatki:
Posąg boleści w majestacie!
Lecz już na los swój się nie skarży,
Bez żalu myśli o tym grobie,
Bo wszyscy mówią: że w żałobie
Blondynkom bardzo jest do twarzy.

Dziś ona — dziś to złote serce
Dzień cały siedzi na rozprawie
I śledzi bacznie i ciekawie:
Jak też ukarze sąd mordercę?
Nad zbrodnią łzy wylewa krwawe
Z swych towarzyszek liczną rzeszą...
Zapłacze — jeźli go powieszą
I — znowu pójdzie na rozprawę.

Kazet.

Szczęśliwy narzeczony.

Córka: Kiedy wczoraj przyjęłam oświadczyny mojego narzeczonego, przez cały kwadrans słowa nie wymówił taki był szczęśliwy.

Ojciec: Pewnie obliczał, wiele ci się po mnie dostanie.

Gruba różnica.

A.: Mówiłeś, że pan Lehmann jest bogaty?

B.: Przepraszam, wcale tego nie mówiłem; powiedziałem tylko, że ma więcej złota, niż rozumu.

Zanadto.

...Nie! panie nadleśniczy! Dzisiaj wieczór pan tak blaguje, że tego by i pański jamnik nie wytrzymał.

Między kolegami.

— Jakże się miewa twój nowy pacyent?

— Wcale nieźle! Dyagnozy jeszcze mi się nie udało wprawdzie postawić, ale zapisałem już lekarstwo a choróbka pomału sama się pokaże.

Kto jest bohaterem?

A.: Czy nie uważałeś, że najwięcej bohaterów trafia się między ludźmi żonatymi?

B.: Każdy żonaty człowiek jest bohaterem.

Dowcipny uczeń.

Nauczyciel: Jeżeli dany koń przebiega w jednej minucie 55 sekund jeden kilometr, a drugi tę samą przestrzeń odbywa w dwóch minutach, o ile mniej czasu będzie potrzebował pierwszy koń do przebycia czterech kilometrów.

Uczeń: O! mnie wyścigi nie interesują.

Mąż polityczny.

Pewien polityk poznański rozmawiał raz z bardzo sentymentalną panną X. — Mówiono o wielkości światów zamieszkałych.

— Czy pan kiedy myślał o ludziach na Marsie? zapytała naraz panna X.

— Nigdy proszę pani — odpowiedział polityk.

— A dlaczego nie? — indagowała dalej panna X.

— Bo nie należą do mojego okręgu wyborczego, odrzekł chłodno mąż polityczny z Poznania.

Perła.

Teściowa „piłuje“ zięcia.

— Tak, mój panie zięciu!... Moja córka — nie byle co! Moja córka — to prawdziwa perła!

— Taak?... Przepraszam mamę... A zkąd ta perła pochodzi?

W salonie.

— Wie pan, kiedy siedzę przy fortepianie, wpadam w taką ekstazę, w takie upojenie, że zapominam o wszystkich.

— A jednak powinna pani mieć na względzie...

— Kogo?

— Tych, co panią słuchają.

W teatrze.

— Myślicie, Łukaszu; że na scenie podają prawdziwe potrawy?... Ta szynka jest z tektury, a ciasto strugane z drzewa.

— O jej, jakie ci aktorzy muszą mieć strawne żołądki.

Najmniej samotny.

Najmniej samotny, kiedy *sam jestem*
Rzymianin głosił tak „credo“ swoje—
Małą poprawkę w tym względzie zrobię:
Najmniej samotny, kiedym — *we dwoje!*

Dział powieściowy.

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

23)

(Ciąg dalszy.)

Nadchodził teraz znowu czas, w którym książę miał przyjechać do Łąki, i Klara promieniała radością i szczęściem. Dzień przed przybyciem księcia zjawił się we wsi jakiś nieznajomy, zajechał do karczmy, zamówił dobrą kolacją i umieściwszy konie w stajni, powiedział karczmarzowi, że zabawi tu tylko kilka godzin i że zaraz po kolacji pojedzie dalej. Potem spytał o zamek, o mieszkańców jego i odszedł, aby sobie obejrzeć trochę okolicę. Po upływie godziny wrócił, zapłacił rachunek i odjechał.

Miał to być mężczyzna wysoki, o czarnej brodzie krótko przystrzyżonej i bladej, niemiłej twarzy.

Nazajutrz rano przybył książę do zamku, dziwiąc się, że nikt nie wychodzi na jego powitanie, i że Klary nie widzi, jak zwykle w oknie.

Wszedł więc do sieni sam, i zaraz też ujrzał leżącego na podłodze starego sługę, związanego i zakneblowanego. Gdy go uwolnił z więzów, dowiedział się, że złoczyńcą, który to uczynił, był jakiś nieznajomy, który przybył wczoraj na wieczór, żądając wstępu na zamek, aby oddać jakiś ważny list. Zaledwie wszedł do przedsionka, uderzył go ostrem jakiemś narzędziem w głowę i związał go i zakneblował mu usta.

— A potem.... zapytał książę bez tchu prawie.

— Ach — odrzekł starzec, — ja nie śmiem tego powiedzieć... zresztą, nie wiem nic napewno... ale gdy tu leżałem bezsilny, usłyszałem nagle przerażający krzyk na górze i niedługo potem wybiegł ów nieznajomy z zamku. Pędził, jak szalony!

Książę o nic już nie pytał. Kazał tylko iść służącemu ze sobą i obydwaj udali się na pierwsze piętro. Wszystko tu było w porządku, ani jedno krzesło nie było posunięte, ale cisza głęboka, jaka wszędzie panowała, była wprost przerażająca.

Była to cisza śmierci.

— Znajdziemy ją pewnie w pokoju wieżowym, — zawołał książę — dalej, spieszmy tam!

I biegł naprzód, a otworzywszy drzwi komnaty, cofnął się z głośnym okrzykiem rozpaczy.

Na łóżku leżała Klara, z powrozem na szyi, uduszona, blada, martwa — —

Zamordowano ją!

Od tej chwili stał się książe Janusz starcem, poważnym i zgnębionym. Nikt już nie widział uśmiechu na jego ustach — żył jeszcze siedem lub ośm lat, ale nigdy już do żony słowa nie przemówił.

Księżna jednak przysięgła na Sakrament, że nie jest winną tej zbrodni, że nie nasyłała mordercy, i że nigdy w życiu nie byłaby kazała Klary zamordować. Ktoś inny więc musiał być mordercą.

Kto nim był — o tem wiedział sam książę tylko.

Zdjął on powróz z szyji ukochanej i poznał, że to był wyrób francuzki, domyślił się więc, że zbrodniarz przybył z Paryża, i że na rozkaz króla zamordował nieszczęśliwą Klarę.

Gdy umarł, znaleziono w testamencie jego rozporządzenie, aby go pochowano w parku w Łące, pod rozłożystą wierzbą płaczącą, obok ukochanej Klary. Ale rodzina nie zgodziła się na to, i kazała przewieść zwłoki jego do Warszawy, do grobowca familijnego. Piękna Klara została osamotnioną, i to jest powodem, — szepnął Horn przytłumionym głosem, — że ona codziennie wychodzi z swego grobu. Chodzi wtedy po całym zamku, wyrzeka, płacze i szuka księcia. Lud przezwał ją, białą damą z zamku Łąka, — albo też — mieszkanką wieży. —

Bondi rozśmiał się głośno.

— I dla tego, — zawołał, — nie chcesz iść teraz ze mną do tego pokoju? Czy i ty dzielisz przesądy i zabobony, prostego ludu? Myślisz, że piękna Klara ukaże ci się zaraz?

— Ach nie, ale......

— Ale boisz się! Co do mnie, to chciałbym ją zobaczyć! Mówiłeś, że była młodą i piękną, tem lepiej! Czemu nie zawrzeć znajomości z piękną Francuzką!

— Nie szydź z takich rzeczy ,— zawołał Horn przestraszony. — Wiem przecież, że umarli nie wstawają z grobów, a jednak, co widziałem, to widziałem, a moje oczy nie mylą mnie, i co słyszałem to słyszałem! Wierzaj mi, ta biała dama istnieje, i to co ludzie mówią, polega na prawdzie!

Bondi chciał coś odpowiedzieć, ale Horn nie pozwolił mu nic mówić.

— Łatwo to, — zawołał rozdrażniony, — szydzić z takich rzeczy, i zaprzeć im! Znasz mnie i wiesz, że ja się ani ludzi ani Boga nie boję, ale czasem, bywają rzeczy.... Mieszkanka wieży pokutuje co noc — chodzi ona po rozmaitych pokojach w zamku, a mianowicie po wieżowym, bo tam mieszkała i tam ją zamordowano.

— Zdaje mi się, że zmysły straciłeś, — krzyknął Bondi. — Jak możesz mi takie bajki opowiadać!

— Nie wierzysz? Więc słuchaj, co się mnie samemu zdarzyło, — odrzekł Horn. — Mieszkam w zamku już od kilku lat i nie zauważyłem nic podejrzanego, bo się też o to nie troszczyłem. Ale będą temu trzy tygodnie może..... — tu leśniczy spojrzał bojaźliwie na drzwi, jak gdyby się każdej chwili lękał ujrzeć wchodzącą białą damę, — gdy byłem raz w lesie na polowaniu, i nie zabiwszy żadnego nawet zająca, wracałem do domu w bardzo złym humorze.

Zbliżając się do zamku, podniosłem głowę i przypadkiem spojrzałem na okno wieżowego pokoju.

Pokój był oświetlony!

— Ach, — myślę sobie, — kucharka stała się nieposłuszną — zakazałem jej surowo otwierać drzwi tego pokoju, a ona jednak tam z lampą poszła.

Biegnę więc szybko do zamku, zaglądam do pokoju służącej, i widzę ją śpiącą w łóżku. Budzę ją, pytam,, czy była w wieży, a ona przysięga mi na wszystko w świecie, że nie przestąpiła ani razu mego zakazu, i że nigdy w życiu nie była w tym pokoju!

A ja przecież widziałem tam światło!

Biorę więc strzelbę i biegnę tam śmiało sądząc, że złodzieje zakradli się może do wieży, w której, jak ogólnie było wiadomem, nikt od owego czasu nie mieszkał.

Idę cicho, aby złoczyńców nie spłoszyć, i przyszedłszy do drzwi, słucham.....

Dziwny jakiś szelest daje się słyszeć. Ktoś zatem jest w pokoju — ale mniejsze o to — mojej strzelbie nikt się oprzeć nie zdoła!

Otwieram szybko drzwi i — stoję, jak skamieniały.

Na środku pokoju stoi postać — cała okryta białem płótnem, tak, że nawet twarzy dojrzeć nie mogłem.

Strzelba wypadła mi z rąk, ja zaś ukryłem twarz w dłoniach, i zdaje mi się — że się w myśli przeżegnałem! Gdy podniosłem oczy, już tej postaci nie było!

Gdzie ona się u licha mogła podziać, przecież jedne tylko były drzwi, a w tych ja stałem! Wiedziałem zaś napewno, że ona koło mnie nie przeszła. Więc którędy wyszła? Nazajutrz rano poszedłem tam znowu, przeszukałem jak najdokładniej cały pokój, ale nie znalazłem nic, coby mi było mogło dać jakieś wyjaśnienie dziwnego tego zjawiska, i tak też nie pozostaje mi nic innego, jak uwierzyć w istnienie białej damy w Łące.

I to mi jest bardzo nieprzyjemnie, bo ludzie mówią, że ten, kto białą damę widział, musi umrzeć w przeciągu trzech miesięcy.

Bondi ciągle się jeszcze uśmiechał. Ale cygaro jego zgasło, i twarz zbladła mu jak ściana.

— Więc to się stało przed czterema tygodniami? — zapytał.

— Tak!

— I odtąd nie widziałeś już tego ducha?

— Nie, poprostu dla tego, że nie odważyłem się wchodzić do pokoju wieżowego. Ale widziałem cztery razy światło w oknie, ostatnim razem zeszłej nocy! Byłem sam w domu!

— Żyjesz jednak — widać więc, że duch nic ci nie zaszkodził!

— Żyję — ale to też dopiero cztery tygodnie minęły! Kto wie, czy przeżyję jeszcze dwa miesiące!

— Będziesz żył, — zawołał Bondi, — bo cała ta historya od początku do końca, nie jest niczem innem, jak wynikiem twej bujnej fantazyi. Gdybyś nigdy nie był słyszał o białej damie z Łąki, to nie wyobrażałbyś sobie, że ją widziałeś, bo w rzeczywistości widziałeś tylko blask księżyca oświecający jaki biały przedmiot w pokoju.

Ale Horn poruszył niecierpliwie głową.

— Jestem dosyć stary, — rzekł, aby odróżnić blask księżyca od światła lampy i białej postaci. Widziałem ją wyraźnie — stałem zupełnie blizko niej, i słyszałem poprzednio dokładnie jęki — czy to też blask księżyca?

— Pomimo to muszę iść do tego pokoju wieżowego — dowiodę ci, że się mylisz, i że biała dama istnieje tylko w wyobraźni twojej i zabobonnych wieśniaków. Hrabinę Dernburg przyjmę dzisiaj w komnacie pięknej Klary.

— Rób co chcesz — odrzekł Horn. — Kiedy ona przyjdzie?

— O jedenastej.

— Więc mamy jeszcze pół godziny czasu.

— Idźmy tymczasem do pokoju wieżowego — zawołał Bondi. — Dalej, bierz lampę i chodź, zaręczam ci, że nam obydwom nie ukaże się duch pięknej Francuzki. Duchy ukazują się zawsze tylko jednej osobie! Dalej, bądź odważnym i pójdź ze mną!

Horn wstydził się okazać swoją bojaźń wobec przyjaciela, wziął więc lampkę, ale ręka drżała mu silnie. Obydwaj przyjaciele poszli teraz na drugie piętro. Tu otworzył leśniczy małe drzwi, ukryte w murze tak zręcznie, że ich wcale widać nie było i oczom barona ukazały się wązkie, kręte, żelazne schody.

Bondi szedł pierwszy — leśniczy z lampą za nim.

Schody kończyły się przy mocnych, dębowych drzwiach — tutaj było wejście do wieżowego pokoju.

— Czy drzwi są zamknięte? — zapytał Bondi.

— Nie, one nigdy nie bywają zamykane! Trzebaby je chyba zaryglować, bo klucz zarzucił się gdzieś, a zamek jest tak skomplikowany, że żaden ślusarz tu w okolicy nie potrafiłby klucza dorobić.

Bondi otworzył drzwi i wszedł pierwszy do małego, okrągłego pokoju.

Jedno okno znajdowało się, i to wysoko w murze, a zaopatrzone jeszcze było żelazną kratą.

— Przekonaj się sam, — zawołał Bondi, — że tu nikogo nie ma, ani człowieka, ani ducha. Ale dla bezpieczeństwa zajrzyjmy jeszcze pod kanapę i łóżko.

Pokój ten był kompletnie urządzony. Stało tam kosztowne łóżko polisandrowe a na niem leżała jedwabna pościel, na której niegdyś spoczywała piękna Klara. Jedwab, dawniej może czerwony, był dziś wypłowiały i pożółkły, widać jednak było, jak wytwornie niegdyś wszystko wyglądało. Obok łóżka znajdował się stolik, dalej kanapa na wysokich nogach, kilka foteli, stół, i wysoki stojący zegar w kącie.

— Przekonaj się więc sam, — rzekł Bondi, — że nie ma tu nic podejrzanego. Drzwi są tylko te, któremi weszliśmy, przez okno duch też nie wskoczy, ani też przez mur! Przyznajesz, że się wówczas myliłeś? Może owego wieczora wypiłeś za wiele wina!

— Wcale nie byłem pijany! Przyznaję jednak, że wydaje się niemożliwem, aby mogła wyjść ztąd osoba, nie przechodząc koło mnie, ale co widziałem, to widziałem, i proszę cię, wyjdźmy ztąd czemprędzej.

— Przeciwnie, ja tu zostanę, ty zaś uczyń to, co ci teraz powiem: za kilka minut zapuka hrabina Dernburg do drzwi zamku. Ubierz się w habit mnicha, który znajduje się w zawiniątku, jakie przyniosłem z sobą, i otwórz jej. Ukryj tylko o ile możności twarz pod kapturem, aby cię nie poznała.....

— Na co te przebierania się? — zapytał leśniczy.

— Nie rozumiesz tego? — odrzekł Bondi. — Ona nie ma wiedzieć, że ty jesteś w domu! Powiem jej, że wyszedłeś na polowanie, że sami znajdujemy się w zamku bez twej wiedzy nawet!

— Bardzo dobrze, w takim razie ja się na nic nie narażam!

— A pomimo to otrzymasz trzecią część miliona! Ale teraz słuchaj dalej! Hrabina zapyta cię, czy tu jest posłaniec z Polski — ale ty jej nie odpowiadaj! Milcz i wprowadź ją tutaj, potem oddal się i nie pytaj, co dalej nastąpi, bo od tej chwili jestem ja panem w zamku.

— I chcesz doprawdy zostać sam w wieżowym pokoju? — zapytał Horn. — Tu gdzie biała dama pokutuje?

— Bierz cię licho z twoją białą damą, — krzyknął Bondi rozgniewany. — Niech przyjdzie piękna Klara, a jeżeli piękność jej nie ucierpiała w tych długich latach, to bardzo jej się nawet ucieszę. Ale idź teraz i przebierz się, najwyższy już czas!

Leśniczy spojrzał na przyjaciela tak, jak się patrzy na umierającego i wyszedł.

Bondi zaczął się przechadzać po pokoju. Nie lękał się niczego. Był on wprawdzie tchórzem, ale obawiał się tylko żywych, w duchy zaś nie wierzył wcale.

Zbliżył się potem do zakratowanego okna i spojrzał na niebo. Gwałtowny wicher zginał wierzchołki drzew w lesie i szumiał tu, u góry, wprost przeraźliwie.

— Noc ta nie nadaje się do przechadzki, ale pomimo to nie wątpię, że ona przyjdzie, — pomyślał. — Napisałem jej, że przybył ktoś z Polski znający jej tajemnicę i pragnący się z nią rozmówić w imieniu jej ojca, Wielkiego księcia Konstantego. Z obawy, aby nie zdradzono to wobec jej męża, przyjdzie tutaj. Przygotujmy się tymczasem na tę wizytę.

Bondi wyjął z kieszeni czarną maskę, położył ją na stole, i obejrzał dokładnie nabity pistolet — wszystko było w porządku. Potem usiadł na fotelu i oparł głowę na rękach.

— Jest to ostatnia moja nadzieja, — szepnął. — Nie mogę żyć w ubóstwie, a od czasu, gdy mnie ten przeklęty żyd tak oczernił wobec księcia, zamknęły się dla mnie wszystkie drogi! Moi wierzyciele w Warszawie krzyczą w niebogłosy o zapłacenie długów — uciekłem więc, ale dokąd się udać? Nie, zostanę w Warszawie, chociażby już dla tego samego, aby zmiażdżyć tego żyda — tę żmiję jadowitą! Muszę odzyskać łaski księcia! Tymczasem musi mi Fedora, a raczej mąż jej, wypłacić miljon — tym sposobem zabiję dwie muchy jednem uderzeniem, bo Dernburg, mój wuj kochany będzie przekonany, że to dowódzca opryszków tatrzańskich wypłatał mu tego figla! Ah, Fedora idzie już!

Bondi zerwał się szybko, założył czarną maskę na twarz i wyglądał rzeczywiście tak, jak dowódzca osławionych rozbójników tatrzańskich.

W tejże chwili zapukał ktoś lekko do drzwi i dźwięczny głos kobiecy odezwał się cicho:

— Proszę mi otworzyć. Przybyłam tu, aby widzieć posłańca z Polski!

ROZDZIAŁ LV.

Biała dama.

Bondi otworzył drzwi i do pokoju weszła śmiało Fedora. Zaledwie przestąpiła próg, zamknął Bondi drzwi bardzo starannie.

Fedora miała gęsty, czarny welon na twarzy, dlatego nie mogła w pierwszej chwili rozpoznać dobrze barona, stojącego na boku w półcieniu.

— Przyszłam, — rzekła, zdejmując rękawiczki, — chociaż wezwanie pana dziwnie było tajemniczem i niejasnem. Nie powiedziałam nic memu mężowi, ale pan jesteś posłańcem mego ojca, proszę mi więc oświadczyć jego życzenia. Czego on żąda odemnie?

Przy tych słowach odpięła welon, spojrzała na barona i krzyknęła przerażona.

— Co to znaczy, — zawołała, — pan nosisz maskę czarną! W całej tej okolicy pokazuje się tylko jeden człowiek w masce!

Ale jeżeli pan nim jesteś — to nie możesz być posłańcem mego ojca! Jesteś pan dowódzcą rozbójników!

— Tak, — odrzekł Bondi zmienionym głosem, — i pani hrabina jesteś w mojej mocy.

— Ah, więc to tylko były sidła, jakie na mnie nastawiłeś! Myślisz, że ja tak prędko dam się schwytać? Bierz nędzniku zapłatę z ręki kobiety za wszystkie twoje niegodziwości!

Fedora wyciągnęła szybko sztylet, i rzuciła się na barona.

Ale Bondi, znając Fedorę, był na to przygotowany. Zręczny, jak kot, odskoczył na stronę, a uchwyciwszy rękę Fedory ścisnął ją tak silnie, że sztylet wypadł z jej palcy. Hrabina była bezbronną.

— Żałuję bardzo, — rzekł znowu Bondi, zawsze tym samym zmienionym głosem, — że sprawiłem pani trochę bólu, ale pomimo najszczerszej chęci nie mogłem tego uniknąć. Musiałem panią uchronić od okropnej śmierci, bo gdybyś mnie była zabiła, byłabyś zmuszoną do pozostania na zawsze w tym pokoju. Drzwi tych otworzyć nie można, a przez okno wołać o pomoc jeszcze mniej. — Mąż twój szukałby cię wszędzie, tylko nie tutaj, umarłabyś więc z głodu w tej samotnej wieży!

Fedora zadrżała. Wiedziała, że nędznik ma słuszność, i z cichym jękiem upadła na krzesło, przy stole.

— Ale łaskawa pani hrabino, — mówił Bondi dalej, — ja nie zamierzam wcale skazywać cię na taką śmierć okropną, broń Boże! Cenię wysoko twoją piękność i zaręczam, że ci włos z głowy nie spadnie, jeżeli się zgodzisz na moją propozycyą.

— O, domyślam się, o co panu chodzi, dla czego mnie tutaj zwabiłeś, — odrzekła Fedora. — Chcesz pieniędzy! Chcesz mnie zrabować, nieprawda?

— Nigdy w życiu nie pozwoliłbym sobie zabrać pani hrabinie to, co do niej należy! Ale mąż pani jest bogaty, posiada on ogromny majątek, i sądzę, że nic by mu nie zaszkodziło, gdyby za piękną swoją żonę wysoką zapłacił summę!

— Zaczynam teraz pojmować wszystko, — zawołała Fedora, patrząc z odrazą na zamaskowanego złoczyńcę. — Chcesz mnie trzymać tu tak długo uwięzioną, aż mój mąż mnie wykupi! Ale ja się na to nie zgodzę i nie uczynię nic, coby mogło mego męża zniewolić do przyjęcia warunków pana!

— Słuchaj pani, — rzekł Bondi, przysuwając sobie także krzesło do stołu, — chodzi tutaj o jeden tylko nędzny miljon! Tyle może mąż pani zapłacić, to dla niego drobnostka! Pani nie masz nic więcej do czynienia jak napisać list, który ci podyktuję. List ten zostanie wręczonym hrabiemu — pieniądze zostaną złożone w lesie, na oznaczonem miejscu, a pani wrócisz za to zdrowa i żywa do zamku.

— A jeżeli tego listu nie napiszę?

— W takim razie zostaniesz pani tutaj dopóty, dopóki go nie napiszesz!

— A jeżeli wolę umrzeć, niż go napisać, — zawołała Fedora, zrywając się.

— W takim razie pani umrze!

— Ale ja jestem silną i umiem się bronić!

Bondi zaczynał się niecierpliwić.

— Skończmy już, — zawołał, — nie wiele mam czasu!

— Więc czemu tak spieszysz do szubienicy?

— Proszę mnie nie drażnić — pani nie wiesz, kto jestem!

— Owszem, wiem. Pan jesteś dowódzcą rozbójników tatrzańskich!

Bondi rozśmiał się zadowolony. Fedora nie poznała go, a podejrzenie zwrócone było rzeczywiście na kapitana opryszków. Nikt nie będzie mógł oskarżać siostrzeńca hrabiego o ten czyn podły.

Teraz wyjął z kieszeni papier, pióro i buteleczkę atramentu i położył to wszystko na stół.

— Pisz pani, — rzekł rozkazująco, posuwając arkusz Fedorze.

— Dobrze, napiszę!

— Ale to, co ja podyktuję.

— Nie, napiszę to, co mi dyktuje serce.

— Zobaczymy, czy pani odważysz się stawiać mi opór. Mogę cię zabić — mogę cię oszpecić — naprzykład — mogę ci oczy wyłupić i potem żywą zaprowadzić na zamek. Nie wiem, coby na to powiedział twój mąż!

Pomimo, że Fedora drżała ze strachu, nie zdradziła się ani jednem słowem lub poruszeniem. Patrzała tylko uważnie na stojącego przed nią barona tak, jak gdyby przeniknąć chciała czarną jego maskę. Potem spojrzała na rude jego włosy i na ręce, które były bardzo delikatne i białe. Czy rozbójnik, mieszkający w lasach i skałach mógłby mieć takie serce?

Nagle błysnęły jej oczy dzikim blaskiem i z trudnością zdołała powstrzymać okrzyk zdumienia. Na palcu zamaskowanego poznała kosztowny pierścień, należący niegdyś do jej ojca. Książę Konstanty mógł go więc podarować tylko jednemu z swoich faworytów, a pewnie wcale nie znał kapitana opryszków.

— Nie, — pomyślała, — to musi być ktoś inny — ah — to jest —

— Pisz pani, — zawołał znowu Bondi, podając jej pióro, — pisz natychmiast, inaczej zapomnę, że jesteś kobietą!

— Zaraz, tylko muszę zdjąć płaszcz, bo mi zawadza, — odrzekła Fedora.

I zrzuciła ciasne okrycie.

— Teraz jestem gotową, — szepnęła z szyderczym uśmiechem.

Ale Bondi, własnemi zajęty myślami, nie dostrzegł tego uśmiechu. On liczył już pieniądze i uważał, co z nimi zrobi. Nie wątpił bowiem ani na chwilę, że otrzyma jutro już ów upragniony miljon!

— Więc proszę, — rzekł. — Mogę zacząć dyktować?

— Tak!

— Zaczynaj pani:

„Mój kochany mężu!

„Dowódzca rozbójników tatrzańskich zwabił mnie w zasadzkę. Znajduję się w miejscu, z którego z własnej woli oddalić się nie mogę. Rozbójnik ten żąda za mnie okup w ilości miljona guldenów. Błagam cię, kochany mężu, zapłać te pieniądze, przyślij je przez zaufanego posłańca pod „wielki jawór“ w lesie, należącym do Łąki, bo skoro tylko pieniądze zostaną tam złożone, będę wolną i wrócę do domu. Gdybyś pieniędzy nie przysłał, albo gdybyś mnie przemocą chciał uwolnić, to rozbójnik zabije mnie natychmiast. Ratuj mnie ukochany! Nie zostawiaj mnie w szponach tego opryszka!“

Bardzo dobrze — rzekł Bondi z szatańskim uśmiechem — te ostatnie słowa wzruszą jego serce!

— Mogę teraz podpisać moje imię? — zapytała Fedora.

— Proszę.

— Już wszystko gotowe!

I Fedora wstała.

— Wybacz pani — rzekł Bondi — że się przekonam czy też w liście nie ma jakiego dodatku — bo każde słowo jest bardzo ważne tak dla pani, jak i dla mnie!

I wziąwszy arkusz, pochylił się aby przeczytać list. Nagle jednak wykrzywiła mu się twarz szaloną wściekłością i w jednej chwili leżał papier zmięty na podłodze.

Na arkuszu następujące były słowa:

— Poznałam cię, łotrze i nikczemniku! — Baronie Bondi, pogardzam tobą!

Fedora Dernburg.“

Wrażenia, jakie słowa te na Bondim wywarły, nikt opisać nie zdoła.

Chciał on wyłudzić miljon od hrabiego pod obcem nazwiskiem, i winszował sobie swego dobrego pomysłu, tymczasem zdemaskowała go kobieta, której nienawidził z całego serca!

— Jeżeli pani mnie poznałaś — syknął przez zaciśnięte zęby, — to nie potrzebuję już odgrywać komedji. Tak, ja jestem Bondi, i wiesz teraz, że masz we mnie wroga, od którego nie możesz się spodziewać ani łaski ani miłosierdzia! Pomiędzy nami stoczyć się musi walka o życie i śmierć! Jeżeli nie wypełnisz mego żądania, zamorduję cię tutaj. Daję ci na to słowo!

Obydwiema rękami zdarł teraz maskę z twarzy i Fedora spojrzała mu w oczy, błyszczące śmiertelną nienawiścią. Ale ona spodziewała się tego wybuchu wściekłości. Wiedziała, że łotr ten będzie się rzucał jak szalony i dla tego słowa jego nie wywołały na niej pożądanego wrażenia.

— Nie zmusisz mnie ani groźbą ani prośbą do napisania tego listu — rzekła spokojnie. — Nie wyłudzisz miljona z kieszeni mego męża! Żałuję tylko niezmiernie, że byłam

tak łatwowierną, i nie pojmuję, jak mogłam zaufać listowi, wręczonemu mi przez jakiegoś żebraka...

— Tym żebrakiem byłem ja — zawołał Bondi. — Trzeba ci było zachować trochę więcej ostróżności, piękna księżniczko.

— Nie pojmuję — mówiła Fedora dalej, — jak mogłam opuścić w nocy dom mego męża i przyjść tutaj! Ale tak się mści brak zaufania pomiędzy małżeństwem. Ja to może życiem przypłacę!

— Nie pierwsze to kłamstwo twoje wobec męża — roześmiał się Bondi — czy nie okłamałaś go już dosyć, gdy żyłaś pod jego dachem jako prosta służąca, i jako taka zostałaś jego żoną? Czemu nie wyznałaś mu, że jesteś księżniczką rosyjską? Że krew cesarska płynie w twoich żyłach? Przecież byłoby to wielkim zaszczytem dla hrabiego mieć żonę z książęcego domu! Ale ty wiesz, czemu tu dziś przyszłaś! Wiesz, że niebezpieczeństwo grozi ci na każdym kroku — albo może wyznałaś mężowi, że on nie jest twoją pierwszą miłością?

Fedora skamieniała. Zapomniała ona zupełnie już o Henryku Orszańskim!

— Taisz przed mężem — zaczął znów Bondi — twoje wysokie urodzenie, bo wiesz, że on dowiedziałby się zaraz w Warszawie o twoim stosunku z hrabią Orszańskim, powiadanoby mu, że ojciec znalazł cię w ustronnym domku w pokoju hrabiego — ba, i nietylko ojciec twój był świadkiem tej sceny ,ale i ja! Pamiętasz, piękna Fedoro? Więc nie chcesz napisać tego listu — dobrze! Ale ja pójdę do hrabiego i opowiem mu o tem wszystkiem bardzo dokładnie. Do widzenia, księżniczko!

I Bondi zbliżał się ku drzwiom.

Ale Fedora rzuciła się za nim.

— Zostań — krzyknęła z rozpaczą — zostań!

— Co pani mówisz? — zawołał Bondi otwierając drzwi — czy dobrze rozumiałem? mam zostać? Czy to ma znaczyć, że napiszesz teraz tak, jak ja chcę?

— Nie — jękła Fedora — ja nie napiszę, ale widzę, że jestem zgubioną, więc zabij mnie, łotrze!

— Co mi po twej śmierci! Wolę iść do hrabiego i za miljon guldenów opowiedzieć mu dzieje twej pierwszej miłości. Czy tak czy tak, miljon przejdzie do mej kieszeni.

— Ależ ja hrabiego Orszańskiego nie kochałam prawdziwie! To był chwilowy szał tylko, uniesienie, jakiemu zwykle podlegają młode dziewczęta, gdy im się zdaje, że znalazły swój ideał! Jeżeli pan masz odrobinę honoru, to uwolnij mnie ztąd! Sprzedam moje klejnoty, i dam ci wszystko, co mam...

— Napisz ten list! Tylko że ja teraz żądam półtora miljona! Za wiele tracę tu czasu!

— Nigdy!

Bondi zaczął rzeczywiście tracić cierpliwość! Namiętna żądza posiadania pieniędzy uniosła go tak daleko, że nie wiedział już co robi.

— W takim razie nie pozostaje mi istotnie nic innego, jak zabić cię, — rzekł zimno, — ale bądź co bądź, opowiem wszystko twemu mężowi. Miljon będzie moją własnością!

— Nikczemniku!

— Jest to zapewne ostatnie twoje słowo!

Bondi podniósł sztylet, i zbliżył się do Fedory.

— Ratunku! — krzyknęła nieszczęśliwa. — Ratunku! Czy nikt mnie tu nie usłyszy?

— Nie! krzycz ile chcesz!

I już zamierzał ugodzić nędznik ten Fedorę, gdy nagle zachwiał się i jak nieprzytomny wpatrzył się w okropne jakieś zjawisko, które stanęło przy drzwiach.

I zaraz też dotknęła zimna jak lód ręka jego twarzy.

Z przerażającym krzykiem rzucił się Bondi ku drzwiom.

— *Biała dama! Ach ów duch pokutujący! Jestem zgubiony! Jestem zgubiony!*

Włosy stanęły mu na głowie i serce ze strachu uderzać przestawało. Tam, pomiędzy Fedorą a nim, stała biała postać z groźnie wzniesioną ręką i dziwnie błyszczącemi oczami. Nie, to nie było złudzenie, Horn miał słuszność, duch istniał i on go teraz wyraźnie widział.

Zimny pot wystąpił mu na czoło — chciał uciekać a stał jak przykuty do miejsca i nie mógł się ruszyć.

Ale i Fedora śmiertelnie była przerażoną. Upadła na łóżko, i ukrywszy twarz w poduszkach, na nic już patrzeć nie chciała. Zdawało jej się, że teraz musi umrzeć.

Bondi tymczasem odzyskał przytomność o tyle, że wyjąwszy klucz z kieszeni, zdołał otworzyć drzwi, i wypadł jak szalony, nie oglądając się już za siebie.

Ale drzwi zatrzasnął z całej siły, Fedory pomimo wszystkiego wypuścić nie chciał.

Jak zeszedł ze schodów, tego sam już nie wiedział. Nogi gięły się pod nim, trzymał się obydwiema rękami poręczy, inaczej byłby spadł.

I nareszcie wpadł do pokoju, w którym Horn czekał na niego, siny na twarzy, z błędnemi oczami...

— Bondi, czy to ty? — zawołał leśniczy przestraszony.

Bondi, zamiast odpowiedzi, wybuchnął głośnym, okropnym śmiechem.

— Czemu się śmiejesz? Co to znaczy? — pytał Horn, coraz więcej zdumiony.

— To znaczy, że ja — ja —

— Ależ co? Mówże już u licha, co ci się stało! Czy jakie niebezpieczeństwo grozi nam?

— Nic — nie — tylko że ja — ja —

— Cóż takiego? Ach, domyślam się! Tyś pewnie widział białą damę.

— Tak, widziałem — białą damę! — krzyknął Bondi i upadł zemdlony.

Horn stał jak skamieniały. Cygaro wysunęło mu się z palcy i z nieopisanem uczuciem patrzał on na przyjaciela, który przed godziną dopiero szydził z jego bojaźni i śmiał się z całej tej smutnej historyi.

I pochylając się nad nim, szepnął smutnie:

— Więc i ty!

— — — — — — — — — — — —

Fedora leżała także nieprzytomna na łóżku pięknej Klary. Chociaż ukazanie się ducha wybawiło ją od śmierci, to jednak wrażenie, jakie zjawisko to na nią wywarło, tak było silnem, że zemdlała.

Jak długo zemdlenie to trwało, tego nie wiedziała, dosyć, że gdy otworzyła oczy, ujrzała znów ducha, stojącego na środku pokoju.

I teraz zebrała wszystkie swoje siły, i podnosząc się, drżącym rzekła głosem:

— Ktokolwiek bądź jesteś duchu, wzywam cię w imię Boga, odejdź — wróć do grobu! Będę się modlić za twój spokój, za twoją biedną duszę!

Ale zjawisko nie ruszało się z miejsca.

Tylko, że nagle opadły białe zasłony na ziemię i przed zdumioną Fedorę stanął młody, bardzo piękny mężczyzna, którego bladą twarz jasne otaczały włosy.

Fedorze zdawało się, że to wszystko jest snem...

Znała ona tego młodzieńca! Rozmawiała z nim często, wiedziała nawet, że on ją kocha — to też uważała go teraz za prawdziwego anioła, którego Bóg jej zesłał na pomoc.

Ale wszystko to było tak dziwne, tak nadzwyczajne, że na razie niczego pojąć nie mogła. Tyle tylko było jej jasnem, że Bondi uciekł, i że ona znajduje się pod opieką jednego z najszlachetniejszych ludzi.

— To pan — pan — szepnęła wyciągając ręce. — O Boże, nie mogę prawie oczom moim uwierzyć! Przed chwilą widziałam ducha, a teraz widzę pana...

— Tak, widzisz mnie, księżniczko! — odrzekł młodzieniec z uśmiechem. — Wobec pani zrzuciłem maskę, pod którą tu kilka tygodni przebywam. Maska ta umożliwia mi pobyt w zamku i oddala ciekawych.

Młodzieńcem tym był książę Adam Starzycki! —

Książę Adam, jedyna nadzieja Polaków, kochających ojczyznę i mających nadzieję oswobodzenia jej!

Zagadka białej damy w zamku Łąka była teraz wyjaśnioną.

Książę Adam wyzyskał legendę o białej damie w ten sposób, że ubierał się jak duch. Miał ztąd bezpieczne schronienie w wieżowej komnacie, a potrzebował takiego schronienia, bo Wielki Książę Konstanty wyznaczył znaczną sumę za jego głowę. Że zaś i w najszlachetniejszym narodzie zawsze się jaki zdrajca znajdzie, przeto ks. Adam lękając się zdrajcy, uciekać musiał z Warszawy i szukać przytułku w lasach i górach. I wtedy to wpadł na pomysł odgrywania roli ducha w swoim rodzinnym zamku, aby mieć przynajmniej dach nad głową. Rząd zabrał mu wszystko, tak, że posiedziciel niegdyś ogromnej fortuny był dziś żebrakiem.

Gdy wówczas po zamianie na śmierć Henryka Orszańskiego z Bondim, uciekł książę Adam z swoim przyjacielem Bilewskim, zdawało mu się, że ktoś go szpieguje na

każdym kroku. Wiedział zatem, że w Warszawie ani on, ani Bilewski zostać nie mogą, i dlatego postanowili obydwaj opuścić miasto, ale nie razem, tylko każdy z nich inną miał iść drogą.

Dokąd i gdzie — tego sami nie wiedzieli.

Okropnym jest los człowieka, którego nieprzyjaciel ściga i prześladuje! Nigdzie on nie jest bezpiecznym, wszędzie lęka się szpiegów i zdrajców i tuła się z miejsca na miejsce, bez celu, bez chwili spokoju, byleby ujść grożącemu niebezpieczeństwu.

Wielki Książę Konstanty kazał go ścigać bez miłosierdzia — podwyższał od czasu do czasu nagrodę za jego głowę i kazał we wszystkich miastach i wsiach ogłaszać jego dokładny rysopis.

Nieszczęśliwy wygnaniec szedł tylko nocą, we dnie zaś ukrywał się w skałach lub jaskiniach leśnych. Całemi dniami żywił się jagodami — rzadko kiedy mógł sobie kupić kawałek chleba lub mięsa. Po kilku tygodniach takiego życia zaczął się namyślać, co dalej robić, bo czuł, że tej włóczęgi długo nie wytrzyma. I wtedy przyszło mu na myśl odgrywanie roli białej damy w zamku Łące. Za ostatnie jakie miał pieniądze kupił od jakiejś wieśniaczki trochę płótna i przygotował sobie ubranie ducha.

Potem wszedł niepostrzeżenie do zamku, i od tej chwili zaczął się ukazywać duch pięknej Klary, przerywając ciszę nocną żałosnemi jękami i skargami.

Rolę swoją odgrywał książę tak znakomicie, że nawet człowiek tak zuchwały jak leśniczy Horn, nie byłby wszedł za nic w świecie w nocy do wieżowego pokoju.

I tak miał książę wygodne mieszkanie, co do żywności, to i na tej mu nie zbywało, bo co noc szedł do śpiżarni leśniczego i brał tyle, ile mu było potrzeba. Że zaś leśniczy miał zawsze ogromne zapasy, sam bowiem lubił jeść dużo i dobrze, przeto nie zauważył wcale ubytku potraw.

W zamku była nadto bogato zaopatrzona biblioteka, książę mógł więc czytać i pracować, ile chciał. Ale chodzenie jego do biblioteki miało też jeszcze inny pewien cel, ważny i święty, o którym później więcej pomówimy.

— Wstań, księżniczko, — rzekł teraz książę Adam, podając rękę Fedorze. — Przestraszyłem cię bardzo, ale wybaczysz mi, gdy ci powiem, że inaczej postąpić nie mogłem! Chodziło przecież głównie o odstraszenie tego nędznika, który ci śmiercią groził!

— Więc książę wiesz, — zawołała Fedora, — czego on żądał? Słyszałeś naszą rozmowę?

— Tak!

— W takim razie wiesz także, że on zwabił mnie w zasadzkę, że przyszłam tu, sądząc, że chodzi o wiadomości od mego ojca.

Ach, nędznik ten nie poraz pierwszy stał się niebezpiecznym memu mężowi!

— Mężowi? to pani jesteś zamężną? — zawołał książę drżącym głosem.

Nie wiedział on nic o małżeństwie Fedory, i zkąd byłby się miał o tem dowiedzieć! Było to zupełnie niemożliwem, ale wiadomość ta napełniła serce jego rozpaczą.

Fedora wiedziała, że on ją od dawna kocha pierwszą, gorącą miłością i gdyby się był przed dwoma jeszcze laty starał o jej rękę, to kto wie, czy Książe Konstanty nie byłby nakłonił córki do przyjęcia jego ręki . Książe Adam posiadał wówczas miliony i był jednym z najświetniejszych kawalerów na dworze Wielkiego księcia.

Ale Fedora nie kochała go, będąc zajętą Henrykiem. Ceniła go i szanowała jak najlepszego przyjaciela i te same uczucia zachowała dla niego aż do dzisiejszego dnia.

Od chwili jednak, w której książę Adam zajął się sprawami ojczyzny, skończyło się jego bywanie na dworze, i ulubieniec Księcia Konstantego stał się największym jego wrogiem. Teraz też nie mógł już myśleć o Fedorze.

Ale aby ją raz po raz widywać i zarazem poznać plany i zamiary Wielkiego Księcia, zdołał uzyskać wstęp nadwór pod nazwiskiem francuzkiego księdza Lafontaine, i nikt nie byłby przypuszczał, że owym ogólnie lubianym, skromnym i cichym księdzem, jest świetny książe Adam Starzycki.

Nie przestał on kochać Fedory — wiedział, że dzika ta i nieprzystępna dziewczyna, zawzięta nieprzyjaciółka Polaków, ma jak najlepsze serce i, że potrzeba tylko zbudzić w niej dobre instynkta, aby zamienić ją w kobietę łagodną i pełną poświęcenia.

Myślał on o niej nieustannie, tęsknił za nią i teraz nareszcie ujrzał ją — żoną innego!

— Pani jesteś zamężna, — zawołał smutnie. — Ach, nie wiesz może, jaka rozpacz ogarnia mnie na myśl o tem! Dotychczas taiłem się z memi uczuciami, ale teraz, gdy jesteś dla mnie straconą na zawsze, teraz mogę ci wyznać, że kochałem cię od chwili, w której cię po raz pierwszy ujrzałem, że marzyłem zawsze o szczęściu posiadania cię, i że cię nigdy kochać nie przestanę. Ale losy okrutne nie dały mi tego szczęścia! Gdy mogłem się starać o ciebie, milczałem, a gdy chciałem ci wyznać moje uczucia, było już za późno — byłbym musiał wybierać pomiędzy tobą a nieszczęśliwą moją ojczyzną. I tej ofiary nie mogłem dla ciebie spełnić! Gdybym był chciał zapomnieć, że Polska niegdyś potężnem była państwem, gdybym chciał ją zdradzić i cieszyć się łaską cara, gdybym był nieczuły na łzy i cierpienia mych rodaków, gdybym nie był chciał słuchać krzyków i jęków rozpaczy — ach, wtenczas nie byłby mi ojciec odmówił twej ręki! — Bóg mi świadkiem, że staczałem ciężkie walki z mem sercem w bezsennych nocach, że rozpaczałem, ale w walce pomiędzy obowiązkiem i miłością zwyciężył obowiązek. I dziś, gdy głęboki smutek przepełnia moje serce, gdy widzę ciebie żoną innego, nie żałuję jednak tego, co uczyniłem! Straciłem szczęście, ale zatrzymałem honor!

Fedora ujęła rękę księcia i uścisnęła ją serdecznie.

— A ja, — rzekła, — podziwiam pana, jako męża obowiązku, i dziękuję ci, że odkryłeś mi twe serce. Miłości dać ci nie mogłam i nie mogę, ale bądź przekonanym, że wierniejszej i szczerszej przyjaciółki jak ja, nie znajdziesz nigdy i nigdzie!

Książę Adam głęboko był wzruszony.

— Jestem pani niezmiernie wdzięczny za te słowa, — szepnął, — i nie zapomnę ich póki życia. Ale teraz powiedz mi, kto jest twoim mężem?

— Hrabia Dernburg!

— Ah, słyszałem o nim i winszuję pani takiego męża! Ma to być jeden z najzacniejszych ludzi! Zazdroszczę mu ciebie, a jednak życzę mu szczęścia, jakie mu się w udziale dostało. Ale teraz musisz pani czemprędzej wracać do domu. Obowiązkiem twoim jest wyznać mężowi całą prawdę!

— Całą prawdę? Ach Boże, pan nie wiesz....

— Wiem wszystko, — przerwał książę — wszakże słyszałem rozmowę twoją z Bondim. Zataiłaś pani przed mężem, że jesteś księżniczką rosyjską, i że kochałaś hrabiego Orszańskiego. Postąpiłaś jednak bardzo niesłusznie, zawierając małżeństwo pod obcem nazwiskiem. Tylko miłość i wzajemne zaufanie mogą utrwalić szczęście wasze. Musisz pani wyznać wszystko mężowi, bezwarunkowo!

— A jeżeli mąż mój dowie się, że ojciec spotkał mnie raz w ustronnym domu, z hrabią Orszańskim? Bo i o tem wiesz pan zapewne?

— Jeżeli mąż pani dowie się o tem, to jest na szczęście jeszcze ktoś, kto poświadczy niewinność twoją!

— Mylisz się pan, scena ta nie miała świadków, jedynym towarzyszem mego ojca był ów nędznik Bondi! Ten, który mnie tu dziś zwabił!

— Ach, to człowiek, który nigdy pewnie jeszcze nie wymówił słowa prawdy! On stanąłby naturalnie jako twój przeciwnik, ale Henryk Orszański powiedziałby prawdę!

— Henryk Orszański! Czy on żyje jeszcze? Tak, on mógłby zeznać, że pomiędzy nami nie zaszło nic, za co bym się wstydzić musiała! Ale on pewnie już nie żyje!

— Ja też tak sądzę, niestety, — szepnął książę sam do siebie.

Nie przeczuwał on wcale, że najlepszy ten jego przyjaciel mieszkał zaledwie o pół godziny drogi od zamku Łąka.

— Nie wiem doprawdy, — rzekł głośno, — w jaki sposób on wówczas uciekł z Warszawy i uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa, ale mam nadzieję, że zdołał się ocalić. Jestem przekonany, że żyje, i trzeba nam go szukać. On sam wyjaśni mężowi pani wszystko, i zdejmie z ciebie wszelkie podejrzenie. Ale przyrzeknij mi, że skoro wrócisz do domu, wyznasz hrabiemu prawdę. Powiesz mu także, że dzisiejszej nocy byłaś tutaj, że Bondi chciał cię zabić, a wtedy postara się hrabia o ukaranie tego nikczemnika! Najwyższy czas, aby ludzie zostali uwolnieni od tego szatana w ludzkiej postaci.

— Masz słuszność, książę, — zawołała teraz Fedora z błyszczącemi oczami, — usłucham twej rady i powiem wszystko mężowi. Ale mogę opuścić bezpiecznie ten zamek? Nie będzie mnie Bondi śledził? I w jaki sposób, — dodała przerażona, — możemy wyjść ztąd — drzwi zatrzaśnięte — Bondi ma klucz....

— Ja pani pokażę drogę, — odrzekł książę, — na której nie spotkasz tego łotra.

— Ale on może w lesie czekać i zabić mnie! Nie pozwoli on na to, abym żywa wróciła do domu — byłby przecież zgubionym! Ja myślę, że lepiej mi pozostać tu jeszcze godzinę lub dwie — jestem strasznie zmęczoną — scena ta zdenerwowała mnie okropnie. Około drugiej wyjdę ztąd — Bondi będzie myślał, że zostanę tu aż do rana i znudzony daremnem przez dwie godziny czekaniem, oddali się.

— Więc spocznij pani na łóżku, — rzekł książę, — śpij z godzinę — sen cię wzmocni i uspokoji. Ja będę czuwał nad panią — nie można bowiem dowierzać temu nędznikowi.

Fedora ledwie się rzeczywiście trzymała na nogach. Nie mówiąc już ani słowa położyła się na łóżko i popadła w jakiś stan odrętwienia — nie spała, ale leżała jak martwa, słysząc i widząc wszystko, co się w około niej działo. Widocznie nerwy zbyt rozdrażnione wypowiedziały jej zupełnie posłuszeństwo.

Książe Adam usiadł przy stole i wpatrywał się w piękną twarz młodej kobiety. Serce jego ściskało się bólem na myśl, że nigdy już nie będzie sobie mógł zdobyć miłości tej jedynie ukochanej, ale pocieszał się tem, że ojczyzna większe miała do niego prawa, że wypełniał sumiennie wszystkie względem niej obowiązki, i że nikt nie mógł mu jednej nawet zdradzieckiej zarzucić myśli.

Honor nadewszystko!

— — — — — — — — — — — — — —

I tak minęło półgodziny w zupełnej ciszy. Książę Adam uznawał sam, że Fedora, zmęczona i słaba, nie mogła wracać sama w nocy do domu, lepiej więc, że odpoczywała tutaj. Hrabia nic przecież o jej nieobecności nie wiedział.

Książę namyślał się bardzo nad tem, czy ma towarzyszyć Fedorze, czy nie, jakiś głos wewnętrzny odradzał mu od tego, rozum zabraniał — bo kto wie, czy nie straci tym sposobem jedynego swego schronienia, ale serce rwało się do niej i przytłumiało głos rozumu.

Bądź co bądź — teraz trzeba było obudzić Fedorę.

Książe zbliżył się do łóżka i stał przez chwilę zapatrzony w śpiącą.

Jaka ona była piękna!

Przypominała śpiącą królewnę z baśni, czarodziejkę, czekającą tylko na to, aby ją królewicz zbudził pocałunkiem do życia....

Ach, książe Adam nie mógł się oprzeć pokusie.

— Raz tylko pocałować jej usta, — szepnął — jedyny raz! Będzie to dla mnie najdroższą pamiątką, na całe życie. Nigdy już nie znajdę takiej sposobności....

I pochylając się, dotknął lekko ustami jej ust na wpół rozchylonych.

Fedora obudziła się natychmiast.

— Książę! — zawołała — co robisz! Zapomniałeś o honorze twoim?

Książę Adam cofnął się, ale w tejże chwili dał się słyszeć straszny krzyk gniewu.

— Ha, nędznico! Podły uwodzicielu! Tutaj was znajduję!

Fedora zerwała się jak szalona — we drzwiach stał jej mąż!

Hrabia miał szpicrutę w ręku i dziko błyszczącemi oczami patrzał na żonę i księcia Adama.

ROZDZIAŁ LVI.

Zazdrość.

Kto tu sprowadził hrabiego? Kto mu powiedział, że żona jego znajduje się w nocy w zamku Łąka? Kto zbudził w sercu jego uczucie zazdrości?

Zagadka ta zostanie później wyjaśnioną.

Są ludzie, którzy w największem niebezpieczeństwie nie tracą przytomności, do takich też należała Fedora. Widok wchodzącego niespodziewanie męża przeraził ją niezmiernie — pozory były przeciwko niej — jeżeli więc mogło ją coś jeszcze ocalić, to śmiałość i udawanie, że nie stało się nic, co by hrabiego obrazić lub rozgniewać miało. Pozornie spokojna i z rozjaśnioną twarzą zbliżyła się do męża.

— Herbercie ,zawołała — przyszedłeś po mnie? Jestem nareszcie ocaloną, w twoich objęciach nic mnie już złego spotkać nie może! Sam Bóg cię tu sprowadził!

— Bóg — nie, — krzyknął Dernburg szorstko, odpychając żonę, — chyba piekło, które nie chciało, abym dłużej jeszcze był ofiarą awanturnicy. Byłem zaślepiony, teraz otworzono mi oczy — wiem, kto jest moja żoną, wiem kto jesteś, ty niegodziwa kobieto i wiem też, że przez całe moje życie będę najnieszczęśliwszym z ludzi.

Głos hrabiego, z początku ostry i surowy, stał się teraz miękkim, cichym, jak gdyby go łzy tłumiły.

— Herbercie! — zaczęła Fedora, śmiertelnie przerażona, — posłuchaj mnie....

— Milcz! Nie masz mi nic do powiedzenia! Płakałem z szczęścia, gdy mi powiedziałaś, że mnie kochasz, ale dziś pomszczę mój honor i ukarzę tych, którzy go splamić chcieli albo już splamili.

— Panie hrabio — odezwał się teraz książe — musisz mnie najpierw posłuchać....

— Ja, pana? Kto pan jesteś, że śmiesz do mnie przemawiać? Wiem już co mi chcesz powiedzieć! Że nieprawdą jest, co mi mówiono, że pan w Warszawie miałeś stosunek z moją żoną! Nie mogę panu brać tego za złe, ale krew twoja musi zmyć plamę na moim honorze! Ale i pana oszukano! Pierwszym kochankiem mej żony był hrabia Orszański! Nie można wierzyć pięknej kobiecie, biada temu, który w takie ręce składa swoje szczęście. Ja uczyniłem to, i muszę teraz gorzko pokutować za moją łatwowierność!

— Mężu! — zawołała Fedora, rzucając się na kolana. — Zabijasz mnie twojemi słowami, a ja ci przysięgam na Boga i na wszystko ,co mi najświętsze, że jestem niewinną!

Dernburg rozśmiał się głośno.

Fedora nigdy go jeszcze takim nie widziała i nie przypuszczała nawet, aby ten łagodny i szlachetny człowiek, mógł się takim unieść gniewem.

Czy to był rzeczywiście ten sam Herbert, który jej niebo na ziemi zgotował, i kochał ją jak żonę, dziecko i swój skarb najdroższy?

— Nie zadawaj sobie tyle trudu, — rzekł stanowczo — nie przekonasz mnie o twej niewinności, bo ja wierzę więcej moim oczom, niż twoim pięknym słowom, które żadnego na mnie nie wywierają wrażenia. Piękność twoja zaślepiła mnie, ale cóż znaczy piękność bez cnoty! Nie ma ona wartości, a......

— Słuchaj mnie Herbercie, — przerwała Fedora płacząc, — nie potępiaj mnie, nie wysłuchawszy wszystkiego!

— Co ty mi jeszcze możesz powiedzieć, — rzekł przytłumionym gosem. — Będziesz mnie naturalnie zapewniała o twej niewinności, ale tego nie wytłumaczysz mi, dla czego ja cię znajduję z tym panem, tu w tej samotnej wieży! Ah, domyślam się — leśniczy był waszym pośrednikiem! Kto wie, jak często spotykaliście się tutaj, podczas kiedy ja, ufny w niewinność mej żony, sądziłem, że ona mnie samego tylko kocha!

Fedora chciała coś odpowiedzieć, ale hrabia podniósł rękę tak groźnie, że przerażona umilkła. Książę Adam cofnął się umyślnie i nie mówił nic, myślał on, że łatwiej mu będzie hrabiego przekonać o niewinności Fedory, gdy go pierwszy najgwałtowniejszy gniew minie.

Hrabia tymczasem mówił dalej w najwyższem uniesieniu:

— Widzę teraz, że byłem zbyt zarozumiały, sądząc, że mnie młoda i piękna kobieta kochać może. Jestem już stary — trzeba mi było żyć dalej samotnym..... wtedy byłbym pozostał silnym jak skała! Trzeba mi było kochać tylko moich robotników i utworzyć sobie z nich jedną wielką rodzinę, wtedy byłbym spokojnym, zadowolonym i szczęśliwym. Ale cóż tam! Nie przyszedłeś tu, aby się skarżyć na mój los, tylko aby ukarać winnych. — Mój panie, — dodał zwracając się do księcia i przechodząc koło Fedory tak, jak gdyby jej tam wcale nie było, — teraz chciałbym z tobą pomówić kilka słów. Ukradłeś mi mój honor — zastałem cię tu w pokoju, w nocy z moją — żoną. Nie wiem, jaki stosunek jest między wami, ale wystarcza mi to, że żona moja opuściła potajemnie mój dom, aby się tu z panem spotkać. Wystarcza mi to, co na własne widziałem oczy — że pan ją całowałeś, wiem, że oszu-

znieważaliście mnie i żądam za to od pana zadosyćuczynienia. Pan jesteś księciem Adamem Starzyckim, a zatem godnym mej szabli. Daję ci dwie godziny do namysłu, teraz dochodzi dwunasta, o drugiej oczekuję cię w lesie koło „lisiej jamy.“ Znasz pewnie las i wiesz, dokąd przyjść. Postaram się o szable — pojedynek nasz może się tam zaraz odbyć!

— Najpierw proszę mnie posłuchać, — rzekł książę Adam spokojnie.

— Wierzaj mi książę, — przerwał Dernburg, — że słuchanie pańskich uniewinnień nie sprawia mi przyjemności. Nie rozmawiałbym też z panem, gdybym nie był do tego zmuszony. Jeżeli los zrządzi, że mnie zabijesz, to spodziewam się, że będziesz o tyle uczciwym, aby wypełnić obowiązek, jaki wziąłeś na siebie. Na czem ten obowiązek polega, wiesz przecież — na opiekowaniu się tą kobietą, która nigdy już nie przestąpi progu mojego domu. Pozostawiam ci na własność piękną Fedorę — twoją towarzyszkę, którą sam sobie wybrałeś, i życzę ci tylko abyś nie miał sposobności doświadczenia tego, czego ja doświadczam dzisiejszej nocy.

— Herbercie! — krzyknęła Fedora, — zabiję się w twoich oczach, jeżeli mnie nie wysłuchasz!

— Ha, ha, ha, — rozśmiał się hrabia, — to dobre! Był czas, że drżałem ze strachu, gdy śpilką skaleczyłaś sobie palec, dziś jest mi bardzo obojętne, czy się zabijesz, czy nie! Dla mnie przestałaś istnieć!

I zanim książę Adam i Fedora odpowiedzieć zdołali, wybiegł hrabia z pokoju.

Teraz zostali oboje nieszczęśliwi sami. Byli oni ofiarami — albo smutnej jakiejś omyłki, albo niegodziwości ludzkiej.

Fedora chciała biedz za mężem, ale książę zatrzymał ją.

— Nie, pani, — rzekł, — więcej upokorzenia — to byłoby już podeptaniem honoru twego. Poniżyłabyś się sama — hrabia potępił nie wysłuchawszy ciebie. Teraz on sam musi wrócić do ciebie, i wierzaj mi — on wróci!

— Nie, nie, on nie wróci już nigdy, — krzyknęła Fedora z rozpaczą. — Ach, jestem najnieszczęśliwszą istotą na świecie, bo ja kocham z całego serca mego męża i nie mogę żyć bez niego! Byłam tak szczęśliwą, a teraz.....

I gorące łzy przytłumiły jej głos.

Książę stał milczący i zamyślony, ostatnie słowa Fedory boleśnie mu serce raniły. Jak on zazdrościł hrabiemu miłości tej kobiety. Kochała go, chociaż ją odepchnął i znieważył!

— Wszystko się dla mnie skończyło, — szepnęła Fedora po chwili, — życie żadnej już nie ma dla mnie wartości!

— Nie mów pani tak, — prosił książę, ale ona przerwała mu szybko.

— Ach, jak chętnie chciałabym umrzeć! Tylko że śmierć na zawołanie nie przychodzi! Ale powiedz mi pan, dokąd ja teraz mam się udać?

— Trzeba się namyśleć.....

— Mnie to zresztą obojętne! Pójdę do ojca, do Warszawy, upokorzę się przed nim — może pośle mnie na Sybir, wszakże raz już byłam na tę karę skazana i uszłam jej cudem nieomal..... O, gdybym wówczas była poszła na Sybir! Gdyby się nie była znalazła szlachetna kobieta, która karę moją wzięła na siebie! W wiecznych tamtejszych śniegach i lodach nie czułabym się tak nieszczęśliwą, jak dzisiaj!

— Uspokój się pani, omyłka ta musi się wyjaśnić, i wszystko będzie dobrze!

— Nie! Pan go nie znasz! O ile wielką i gorącą była jego miłość, o tyle wielkim i gwałtownym jest gniew. Stworzył mi rzeczywiście raj na ziemi — za to teraz zepchnął do piekła, z którego nigdy już nie wyjdę. Pozwól mi iść samej! Żegnam cię książę! Wybacz mi, że z mego powodu tyle znosisz przykrości!

— Nie, ja pani nie pozwolę iść samej, — zawołał książę, ujmując rękę ukochanej kobiety. — Proszę cię, zostań — musimy coś przecież obmyśleć — zdaje mi się, że musimy wyjaśnić najpierw coś, co jak czarna chmura wisi nad nami.

— Nad moją głową zgromadziły się czarne chmury, ale co mi to już szkodzi!

— Wiesz pani, co mi przy tej całej smutnej historyi najwięcej podpada? Otóż to, zkąd się hrabia dowiedział, że jesteś tu w zamku, w wieżowym pokoju? Kto mu o tem mógł powiedzieć? Kto go tak prędko tutaj sprowadził? Przypadek nie mógł to zrządzić, przypadkiem nie mógł się hrabia dowiedzeć, że pani mnie tutaj spotkasz! Zdaje mi się, że nędznik jaki uwiadomił go o wszystkiem — ale musiał to uczynić z szatańską istnie prędkością, po podsłuchaniu naszej rozmowy. Niech będzie jednak jak chce, proszę panią, abyś opuściła teraz ze mną ten zamek. Mąż twój oddał mi ciebie pod opiekę — nie potrzebuję ci pewnie mówić, że jesteś pod opieką uczciwego człowieka! Przysięgam, Fedoro, że nie powiem ci ani słowa o mojej miłości, że będę wiernym tobie bratem, któremu zawsze i wszędzie zaufać możesz. Pójdź teraz ze mną!

Fedora płakała cicho, rozpaczliwie.

— Dobrze, — rzekła, — pójdę z panem! Pan jesteś wygnańcem, ja także — więc się pod tym względem oboje zgadzamy. Pójdziemy w świat o żebranym chlebie! Zobaczysz, że będę odważną twoją towarzyszką niedoli.

— To jest, jeżeli mnie dziś jeszcze nie pochowasz! Zapominasz, że za dwie godziny muszę się pojedynkować.

— Niech cię Bóg strzeże — zawołała Fedora, ale zaraz potem zadrżała przerażona.

— Ach — jękła z rozpaczą — przecież ja nie mogę Boga prosić o to, aby cię strzegł od złego — byłby to wyrok śmierci na Herberta! On musi żyć! Nie zabijaj go książę — słyszysz?

— Sądzę — odrzekł książe poważnie, — że to pojedynek będzie na życie i śmierć, i że hrabia dołoży wszelkich starań, aby mnie zabić. Ale ja ci przyrzekam, że będę go o ile możności ochraniał! Moim zamiarem nie może być przecież zabijanie człowieka, który przez omyłkę obraził mnie ciężko. Teraz jednak spieszmy się, musimy iść do lasu — znam tam pewną bezpieczną kryjówkę, w której możesz czekać na wynik pojedynku. Ja nie będę mógł już tu wrócić — muszę raczej jaknajspieszniej opuścić Galicją — pójdziemy więc tam, gdzie nie potrzebujemy się lękać ani gniewu twego ojca ani zemsty twego męża.

— W jaki sposób wyjdziemy z tego pokoju? — zapytała teraz Fedora. — Głównemi schodami zejść nie możemy, — boję się zawsze jeszcze Bondiego....

Zamiast odpowiedzi, zbliżył się książę do próżnej szafy, stojącej koło łóżka i otworzył ją.

— Pójdź pani i nie lękaj się niczego — rzekł zaręczam ci, że wyjdziesz tędy bezpiecznie do lasu.

I nacisnął ukrytą sprężynę.

W tejże chwili rozsunęła się ściana i Fedora ujrzała obszerny otwór, wiodący na małe, kręte schody. Książę Adam podał rękę Fedorze i sprowadził ją na dół, wprost do biblioteki.

— A ztąd jak wyjdziemy? — szepnęła Fedora.

— Zaraz to pani pokażę! Uważaj pani tylko, tu są dwa schody jeszcze!

W bibliotece były znów ukryte drzwi. Zasłaniała je szafa, pełna książek, która za naciśnięciem sprężyny tak samo się odsuwała jak szafa w wieżowym pokoju i odkrywała drzwi do wązkiego ganku, wiodącego koło innych pokoi do ogrodu. Gdy przechodzili obok pokoju leśniczego, usłyszeli tam cichą rozmowę — i Fedora poznała natychmiast głos Bondiego.

Ale nie miała czasu do słuchania rozmowy obydwóch przyjaciół, książę naglił do pospiechu i zaraz potem znaleźli się oboje w lesie.

Milcząc, szli dalej. Fedora nie pytała, dokąd ją książe prowadzi, albo kiedy się ten pojedynek okropny ma odbyć, jej wszystko było obojętnem i najchętniej byłaby wolała umrzeć.

Straciła to, co kochała, była wypędzoną z domu — czegoż więc miała się jeszcze od życia spodziewać?

— Idziemy do „lisiej jaskini,“ — rzekł po chwili książe.

I znów milczeli oboje.

ROZDZIAŁ LVII.

Napad rozbójników.

W pokoju leśniczego tymczasem siedzieli obydwaj przyjaciele i pili wino.

— Widzisz mój kochany, — mówił Bondi, — że najważniejszą rzeczą jest — nie tracić przytomności i nie dać

się wystraszyć! W pierwszej chwili byłem śmiertelnie przerażony, zdaje mi się nawet, że zemdlałem!

— Tak, leżałeś jak martwy, — odrzekł Horn, — i myślałem, że już nie wstaniesz!

— No, odzyskałem przytomność jakoś bardzo prędko, — zawołał Bondi, pokręcając wąsa, — i powiedziałem sobie, że jestem wielkim tchórzem. Jak mogłem uciekać przed duchem i myśleć, że istnieją w ogóle duchy! Jest to niegodnem człowieka wykształconego i dla tego poszedłem raz jeszcze na górę, aby zbadać tę sprawę!

— Ja też nigdy nie sądziłem, aby cała ta historya z duchem wyjaśniła się w tak prosty sposób, — szepnął Horn.

— Nie sądziłeś? Wierzę, i byłbyś jeszcze Bóg wie jak długo, drżał przed ową — białą damą. — Ale ja sobie powiedziałem, że nie ma duchów na świecie, i że, jeżeli widziałem postać biało ubraną, to musiała ona być człowiekiem, przestrojonym za ducha. No, i miałem słuszność. Poszliśmy podsłuchiwać i odgadliśmy, że rozmawiającą kobietą była Fedora, a mężczyzną.....

— Którego dojrzałeś przez szparę we drzwiach.....

— Był książe Adam Starzycki, który trzymał rękę pięknej Fedory i patrzał jej czule w oczy. Wtedy powziąłem natychmiast plan uwiadomienia o wszystkiem mego kochanego wuja, hr. Dernburga z wdzięczności za to, że nie oskarżył mnie przed prokuratorem o zamach na jego życie. Uprzedziłem więc Fedorę, aby mu nie powiedziała, że ja zwabiłem ją w nocy do tego zamku i żądałem milion guldenów okupu. Tego by mi wuj nigdy nie wybaczył: Szkoda, że nie widziałem wyrazu jego twarzy, gdy czytał to, co mu naprędce napisałem.....

— Więc nie oddałeś mu sam listu?

— Nie, owinąłem kamień papierem i wrzuciłem go przez okno do sypialnego pokoju. Muszę ci oddać tę pochwałę, że twój wierzchowiec pędzi jak wiatr!

— Ale i ty świetnym jesteś jeźdźcem! Bez siodła.....

— Nie miałem na osiodłanie go czasu! Opisałem wujowi wszystko tak dokładnie, że z zamkniętemi oczami mógłby wejść do wieżowego pokoju. W dziesięciu minutach był on już tutaj, i jego koń doskonałym być musi biegunem. Wszystko to nie trwało ani pół godziny! Stało się tak jak sobie tego życzyłem, wuj zastał żonę w towarzystwie księcia, myśli więc, że go zdradziła — przed kilku minutami wyszedł sam, co znaczy, że jej nie wybaczył. Był to świetny pomysł z mej strony. Pomściłem się na Fedorze, zniszczyłem szczęście wuja za to, że mi nie dawał dosyć pieniędzy, i zapewniłem sobie sukcessją po nim, bo Fedorze nic już nie zapisze, a nawet dziecka jej, gdyby się jakie wnet urodzić miało, za swoje nie uzna.

— Co to jest? — zawołał w tejże chwili Horn przestraszony, wskazując na okno.

— Ej, nic, wiatr poruszył drzewami!

— Zdawało mi się ,że ktoś okno otwiera!

— Nie wiem, kto!

— Słuchaj, ja jednak się nie mylę, — szepnął leśniczy, — słuchaj, ktoś usiłuje okiennicę odsunąć — ach, to są złodzieje — złodzieje...... —

— Czego by tu złodzieje szukać mieli? — odrzekł Bondi. — Wszakże mówiłeś sam, że w całej okolicy ludzie boją się ciebie, że nikomu nie przyszło by na myśl zaczepić srogiego Horna!

Ale zaledwie Bondi wymówił te słowa, gdy szyba z brzękiem wypadła na podłogę i mężczyzna w czarnej masce na twarzy wskoczył przez okno do pokoju.

Horn krzyknął i uciekł na drugą stronę stołu.

— Dowódzca — rozbójników — tatrzańskich — wyjąkał.

— Tak odrzekł kapitan opryszków, — widzę że pan już mnie znasz! Tem łatwiej porozumiemy się!

Bondi rzucił się ku drzwiom i otworzył je, ale cofnął się przerażony widokiem uzbrojonych opryszków, którzy całą zapełniali sień.

Lufy strzelb wymierzone były ku niemu.

Leśniczy odzyskawszy teraz zimną krew, dobył długiego sztyletu wiszącego na ścianie, i podniósł go w górę.

— Ty więc jesteś dowódzcą rozbójników , — krzyknął dziko, — spróbujemy się! Ja jestem leśniczy Horn i umiem być tak samo groźnym, jak ty!

— *Odrzuć sztylet, — rozkazał kapitan, — policzę do trzech, a jeżeli broń twoja nie będzie leżała na ziemi roz-* [illegible]

Po tych słowach skierował pistolet ku ręce leśniczego.

— Raz — dwa —

Z drżących palcy Horna wypadł sztylet na ziemię.

— Poddajcie się, łotry, — krzyknął kapitan, — jesteście moimi więźniami!

— Poddaj się, — radził Bondi po cichu swemu przyjacielowi, — w sieni stoi przynajmniej dziesięciu opryszków! Zastrzelą nas bez miłosierdzia w razie oporu! Przecież tym rozbójnikom chodzi głównie o pieniądze! Niech biorą, co chcą, ty za nic odpowiedzialnym nie jesteś. Twojej własności nie ukradną!

Horn uznał słuszność tych słów — chciał on tylko życie ratować, los zamku zupełnie mu był obojętny.

Kapitan tymczasem usiadł na fotelu, zdawało się, że wcale mu nie spieszno do zabierania drogich przedmiotów i rabowania zamku. Na stole, przy sobie, położył nabity pistolet, a z za czarnej maski błyszczały dzikim blaskiem jego oczy, mianowicie, gdy patrzał na Bondiego.

Horn zbliżył się teraz pokornie do kapitana.

— Miałem zawsze jak najlepsze o panu wyobrażenie, — zaczął uprzejmie, ale kapitan przerwał mu groźnie:

— Nie dbam wcale o to, jak pan o mnie myślisz!

— I cieszę się, że mam sposobność poznania cię — mówił Horn dalej, nie zważając na szorstkie jego słowa.

— Poznasz mnie, — odrzekł kapitan, — ale wątpię, czy znajomość moja będzie ci przyjemną!

— Chciałbym chętnie stać się twoim pomocnikiem i wspólnikiem, jeżeli nie otwarcie, to w tajemnicy! — szepnął Horn. — Mógłbym być szpiegiem — bywam w najlepszych towarzystwach.....

— Towarzystwa, w których bywa człowiek taki jak pan, nie mogą być dobre!

Horn postanowił nie zwracać żadnej uwagi na złośliwe słowa kapitana.

— Wtargnąłeś pan do zamku, — rzekł znowu po chwili, — w celu zabrania wielkich skarbów, ale niestety muszę zaraz na wstępie oświadczyć panu, że nadzieje twoje nie spełnią się. Gotówki nie ma tu wcale! Moich drobnych oszczędności nie weźmiesz mi przecież, wszakże ludzie mówią, że biednych nie krzywdzisz! I dla tego kochamy i szanujemy cię wszyscy.

. . . — *Nie kochaj mnie zanadto, — roześmiał się kapitan.*

Horn zadrżał i umilkł.

— Czy masz jeszcze co do powiedzenia? — zapytał po chwili kapitan tak wyniośle, że Horn, który się zawsze przed wyżej stojącymi uniżał, nie wiedział wcale, co na to odpowiedzieć.

— Nie, nic — odrzekł z najwyższą pokorą.

Bondi stał przy stole i wpatrywał się badawczo w twarz kapitana, myśląc nieustannie o tem, kto to właściwie być może.

— Przecież to nie zwyczajny złodziej, — mówił sobie w duszy, — który w nocy na drabki wchodzi, włamuje się do mieszkań i pieniądze zabiera! To nie morderca, który morduje dla tego, aby widzieć krew płynącą — to nie złoczyńca, nie oszust, jakich zamykają w więzieniach! Nie, to raczej człowiek, którego przeciwne losy popchnęły na tę drogę, każdy ruch jego zdradzał świetne maniery i wychowanie najlepszego towarzystwa. Może to niebezpieczny rozbójnik, ale w każdym razie taki, którego po śmierci bohaterem zrobią, jak Rinalda Rinaldiniego!

Strach i upokorzenie się Horna wywołało uśmiech politowania na ustach Bondiego, nie spieszył jednak na pomoc przyjacielowi, nie chcąc przedwcześnie zdradzać swego nazwiska wobec rozbójnika.

Chodziło mu o to, aby się Dernburg nie dowiedział o jego dzisiejszej bytności w zamku, bo w takim razie domyśliłby się natychmiast, że to jego sprawka, że to on zwabił Fedorę do wieżowej komnaty.

— Jeszcze nie skończyłeś? — zapytał kapitan leśniczego. — Stoisz ciągle przedemną, widać więc, że chcesz mi coś powiedzieć! Mów zatem!

— Chciałem tylko jeszcze dodać, — zaczął Horn cicho, — że chociaż pieniędzy tu nie znajdziesz, to jednak są inne rzeczy warte twej uwagi, mianowicie złote i srebrne naczynia, zegary i obrazy, należące niegdyś do hrabiów Starzyckich. Ja mam klucz od skarbca, i jeżeli chcesz, zaraz cię tam zaprowadzę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)